



BIULETYN INFORMACYJNY
KWARTALNIK

Nr 2 (106) Warszawa, kwiecień – czerwiec 2010

Kopia elektroniczna

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
03-446 Warszawa ul. 11-Listopada 17/19

Zespół redakcyjny: Tadeusz Wolak – redaktor naczelny, Władysław Siemaszko, Henryk Jasiocki

ISSN 1234-0944

Dotacja częściowa, Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego
na Biuletyn Informacyjny

Wydawca:
Światowy Związek
Żołnierzy Armii Krajowej
Okręg Wołyński
27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK
03-446 Warszawa ul. 11-Listopada 17/19

KONTYNUACJA MARSZU OP "BOMBA" NA KONCENTRACJĘ 27.WOŁYŃSKIEJ DYWIZJI ARMII KRAJOWEJ

Wymarsz z Przebraża.

Był styczniowy pogodny, słoneczny, bezmroźny dzień, kiedy w oddziale czynione były przygotowania do wymarszu z gościnnego Przebraża w rejon koncentracji polskich oddziałów partyzanckich na Wołyniu.

Od samego rana dwudziestego stycznia w budynku szkolnym w Zagajniku wrzało jak w przysłowiowym ulu. Inaczej niż codziennie. Jedni zajęci toaletą osobistą, inni pakowaniem plecaków. Inni znów ładowali na wozy taborowe zapasy żywności, amunicji, materiały wybuchowe i różny sprzęt potrzebny w partyzanckich działaniach.

Kucharze przy swoim warsztacie pracy krzatali się energiczniej i szybciej niż zwykle, przygotowując wcześniejszą obiadokolację oraz „żelazne porcje” na drogę. Zajęci pracą od czasu do czasu coś mruzcili pod nosem. Może nucili jakiejś melodie, czy też przeklinali, mniejsza o to, nikt nie zwracał na to uwagi.. Wiadomym było, że kolegom nie złorzeczyli, a że sobie pod nosem coś mruzcili, to nikomu nie przeszkadzało. Jedno było pewne, że spełniali swój obowiązek żołnierski i koleżeński z całym zrozumieniem. A że praca ich była nie lekka, to mówiły za nich czerwone, potem ociekająca twarze, wycierane zamasyście rękawem kucharskiego kitla. Ci nasi kucharze, to nie są wcale profesjonalści, po prostu znają się niezłe na sprawach kulinarnych i umieją smacznie gotować. Umieją oni także nie tylko smacznie gotować, ale jeśli wymaga tego sytuacja, to równie dobrze potrafią dźwżyć w swych muskularnych rękach karabin lub tylce ciężkiego karabinu maszynowego i jakże skutecznie kosić nieprzyjaciela ogniem tej broni. Tymi wspaniałymi kucharzami i cekaemistami w plutonie są: kapral „Grom” (Stefan Tubicz) i strzelec „Góral” (Bronisław Karpowicz).

W przedmarszowych przygotowaniach kręcą się bardziej niż zwykle nasi zawsze ruchliwi zwiadowcy z konnego zwiadu. Oni

coś tam jeszcze mają do załatwienia, a wśród nich jak zwykle wodzi rej Mietek „Podkowa” (Mieczysław Bronowicki).

Najbardziej jednak precyzyjnie przygotowuje do wymarszu swój pododdział ciężkich karabinów maszynowych starszy sierżant „Boston” (Zygmunt Żołędziewski). „Boston” do 1939 roku służył w Wojsku Polskim. Uczestnik wrześniowej kampanii w stopniu podoficerskim. Trafia do niewoli niemieckiej, jest jeńcem stalagu w Neubrandenburgu, skąd udaje mu się uciec. Wraca w rodzinne strony na Wołyń, tu bierze czynny udział w ruchu oporu. Jest wzorem żołnierza i dowódcy. Człowiek spokojny, zrównoważony o stalowych nerwach, trochę flegmatycznego usposobienia. Nigdy nie denerwuje się, zawsze ze spokojem pełni swoje obowiązki.

Teraz także osobiście nadzoruje, ze swą dokładnością, jak jego chłopcy przygotowują się do wymarszu.

Artylerzyści nasi jak inni, bez reszty zajęci są swoimi armatami. Są to dwa działka przeciwpancerne, kaliber czterdziestopięć milimetrowe, które przed wymarszem nie wiem po co czyszczą, pucują jakby na defiladę. Widocznie do nich przywarło powiedzonko „Bostona”, które było znane i popularne w całym oddziale: „No chłopcy, dbajcie o broń, a czyścieć dokładnie, pamiętajcie, że czysta broń nigdy was nie zawiedzie, a niezawodna broń w naszym partyzanckim żywocie to jak chleb powszedni, bez którego się nie obejdiesz”.

We wczesno popołudniowych godzinach przygotowania do wymarszu dobiegały końca. Zjedzono gorący treściwy i pożywny posiłek, który przygotowali nasi chłopcy od kulinarnych spraw, nigdy nie zawodni kucharze. Zaczerwienione słońce coraz bardziej chyliło się ku zachodowi. Czerwony zachód słońca zapowiadał mróz. Na Wołyniu w styczniu i lutym mrozy dawały się często we znaki.

Niemalże równo z zachodem słońca wyruszyliśmy marszem ubezpieczonym z Przebraża, gdzie przez kilkanaście dni gościł oddział po samotnym ciężkim i niebezpiecznym rajdzie ze wschodniej części Wołynia w rejon koncentracji, którym miał być

rejon górnego biegu rzeki Stochód oraz kompleks bagienno-leśny między Kowlem, Włodzimierzem Wołyńskim a rzeką Bug.

Przez ten geograficznie zakreślony rejon koncentracji przebiegała dość ważna sieć komunikacyjna o kierunku wschód-zachód. Linie kolejowe: Szepietówka-Zdołbunów-Równe-Kowel. Szosy: Równe-Dubno do Łucka, z Łucka do Kowla, z Łucka do Włodzimierza Wołyńskiego. Te obiekty i magistrale komunikacyjne miały być przedmiotem dywersyjnych uderzeń koncentrujących się polskich oddziałów partyzanckich. Rejon ten w większości pokryty lasami. Duże lasy ostrowsko-sławuckie, poleskie, ostrogskie, kostopolskie oraz kompleksy leśne na północ i wschód od Kiwerc, Kowla, Włodzimierza.

Krok po kroku przesuujemy się do przodu. Coraz bardziej zbliżamy się do celu, lecz cel jest jeszcze daleki. Zanim dotrzemy może nas spotkać wiele przykrych niespodzianek. Mijamy liczne zakręty i skrzyżowania polnych dróg.

Po około dwugodzinnym marszu osiągnęliśmy wieś Czółnicę. Zatrzymaliśmy się na kilkuminutowy odpoczynek. Chyba po to tylko, aby wypalić papierosa, bo tyle ten odpoczynek trwał, po czym ruszyliśmy dalej. Posuwaliśmy się w rejonie niebezpiecznym, naszpikowanym ukraińskimi oddziałami UPA.

Była księżycowa, pogodna, mroźna noc. Kilkustopniowy mróz nie był dokuczliwy. Nie było najmniejszego nawet wiatru, ani wilgoci w powietrzu, śnieg skrzypiał pod nogami i kołami wozów. Księżycowa noc była naszym sprzymierzeńcem w marszu, tym bardziej, że szliśmy terenem zagrożonym. Wokół panowała cisza, którą od czasu do czasu zakłócało odległe szczekanie psów. Mijaliśmy po drodze opustoszałe lub spalone polskie wsie: Oleszkowice, Stanisławówkę. Nad ranem osiągnęliśmy kolonię Wachówka, także opuszczoną przez zamieszkującą ją polską ludność, która w obawie przed rzezią ukraińską schroniła się gdzieś w którejś miejscowości samoobron lub w niedużym miasteczku Rożyszcze. Tu zatrzymaliśmy się na całodzienny wypoczynek. Woleliśmy nie kontynuować marszu w dzień. Raz to dlatego, że nie chcieliśmy być zauważeni przez niemieckie zwiadowcze samoloty, a dwa – nie bardzo też chcieliśmy ujawniać przed Ukraińcami nie tak

znów wielkiej naszej potęgi, przynajmniej do czasu sforsowania rzeki Styr.

Dziś wieczorem pod osłoną nocy czekała nas przeprawa przez Styr. Przeprawę wybrano na wysokości – na prawym brzegu miejscowości Wiszenki, na lewym Czebienie. Styr należy do rzek dość głębokich, kapryśnych i niezbyt bezpiecznych. Na szczęście o tej porze roku zamrznięty, chociaż według rozpoznania przeprowadzonego w ciągu dnia, pokrywa lodu jest niegrubsza niż dwadzieścia centymetrów, a więc nie taka znów bezpieczna.

Wieczorem, tuż po zachodzie słońca ruszyliśmy w kierunku przeprawy. Od naszego dzisiejszego postoju do rzeki trzeba było pokonać odległość około czterech-pięciu kilometrów. Mniej więcej po godzinie stanęliśmy nad brzegiem rzeki. Przeprawę po jednej i po drugiej stronie rzeki ubezpieczono. Rozpoczęło się forsowanie, które odbywało się dość sprawnie acz powoli, a to z uwagi na niezbyt grubą pokrywę lodu. Każdy wóz taborowy przeprowiano oddzielnie. Najbardziej baliśmy się o przeprawę armatek. Przy większym obciążeniu tafla lodu ugięła się lekko, jakby falowała, dając o sobie znać trzaskami. Te trzaski ostrzegały, że ciężar znajdujący się na tafli jest wystarczający, a większego obciążenia lód nie zdierży.

O północy, szczęśliwie zakończyło się forsowanie Styru. Pogoda, księżycowa noc i tym razem nam dopisywała i sprzyjała.

W czasie dwóch godzin od sforsowania rzeki osiągnęliśmy kolonię Helenówkę, a przez następną godzinę miejscowość Słobodarkę.

Nad ranem dotarliśmy do jakiegoś chutoru leżącego pomiędzy miejscowościami Słobodarka a Pożarkami. Znaleźliśmy się w niedalekim sąsiedztwie z miejscowością i stacją kolejową Perespa oraz toru kolejowego i szosy łączącej Brześć-Kowel-Kiwerce-Łuck-Równe i dalej na wschód ku starej granicy Polski. Drogi te leżały na osi naszego marszu i stanowiły niebezpieczne przeszkody, o wiele niebezpieczniejsze niż forsowanie Styru, nawet po niezbyt grubym lodzie. Przejście przez tory kolejowe było w owym czasie bardzo trudnym przedsięwzięciem. Niemcy wyrąbali las z obydwu stron torów, na przestrzeni stu pięćdziesięciu – dwu-

stu metrów. W niektórych miejscach urządzali zamaskowane pułapki, a także minowali drogi wiodące do torów. Wzdłuż linii kolejowych stacjonowały na wszystkich stacjach i większych osiedlach oddziały wojsk niemieckich lub węgierskich. Pobudowane były umocnienia i bunkry w takich odległościach, by przestrzeń między nimi mogła być przestreliwana i patrolowana. W ten sposób każdy metr od toru kolejowego do skraj lasu można było objąć krzyżowym ogniem broni maszynowej. Po za tym, na stacjach ustawiano silne reflektory, włączane w wypadkach zagrożenia. Takie placówki niemieckie lub węgierskie najeżone były bunkrami i obsadzone załogami w sile piętnastu-dwudziestu pięciu ludzi. A na stacjach kolejowych stacjonowały oddziały w sile kompanii piechoty, a niejednokrotnie wzmocnione paroma, wprawdzie nie najnowocześniejszymi, czołgami, lecz wystarczająco groźnymi dla partyzantów.

Jeszcze bardziej komplikowało naszą przeprawę przez linie kolejową to, że była nas duża grupa, mieliśmy kilkanaście wozów taborowych, dwa działka i z taką kolumną nie mogliśmy szybko przeskoczyć przez strzeżoną i niebezpieczną przeszkodę.

Wprawdzie wzajemne stosunki pomiędzy polskimi oddziałami partyzanckimi a Węgrami jakoś samorzutnie układały się, na zasadach wzajemnej neutralności, coś w rodzaju „nie rusz mnie, ja ciebie nie będę ruszać”. W praktyce jednakowoż zdarzało się różnie. Wtedy obustronnie naruszano niepisaną zasadę neutralności, w wyniku czego zawsze poszkodowane były obie strony. Nic na to poradzić nie było można, to jest skutek twardych praw wojny. Z przeczności jednak woleliśmy ominąć tę niepisaną konwencję neutralności i uniknąć niekoniecznych w naszej sytuacji spotkań, nawet z „bratankami Węgrami”.

Wybrano miejsce przeprawy przez szosę i magistralę kolejową Kowel-Łuck-Kiwerce w odległości około pięciu kilometrów od stacji kolejowej Perespa w kierunku południowo-zachodnim. Miejsce i rejon przeprawy został dokładnie spenetrowany i rozpoznany przez zwiad.

Równoległe z prowadzonym rozpoznaniem i wyszukaniem w miarę bezpiecznego miejsca forsowania linii kolejowej wysłano

patrol minerski aby rozpoznał i zaminował tor kolejowy. Po pierwsze miało to stanowić swego rodzaju bufor bezpieczeństwa na wypadek, gdyby na stacji Perespa zauważono naszą przeprawę, zabezpieczający ewentualną interwencję pociągu pancernego, który według przeprowadzonego rozpoznania od czasu do czasu patrolował ten odcinek magistrali. Po drugie uszkodzenie toru na kilkanaście, czy choćby kilka godzin na tak ważnej dla frontu magistrali uzasadniało decyzję. Po trzecie, aspekt psychologiczny: niszczyć wszystko, co jest nieprzyjacielskie, nękać i nie pozwalać okupantowi spokojnie spać.

Z nastaniem mroku we wczesnych godzinach wieczornych wyruszyliśmy w kierunku przygotowanej i ubezpieczonej przeprawy. Dotarliśmy do szosy i linii kolejowej, którą to poważną przeszkodę na naszej drodze marszu, biegiem, wyciągniętym kłusem sforsowaliśmy niezauważeni. I dalej szybkim marszem posuwaliśmy się w kierunku południowo-zachodnim, niebawem osiągając miejscowość Kozin. Omijając ją polnymi drogami, maszerowaliśmy w kierunku miejscowości Tychotyn, zostawiając po lewej stronie miejscowość Lubcze. Chcieliśmy, utrzymując mordercze tempo marszu, jak najprędzej i jak najdalej oderwać się od niemiecko-węgierskiego garnizonu w Perespie. Nie byłoby celowe, aby przed osiągnięciem rejonu koncentracji uwikłać się w otwarte i niezamierzone walki. Tym bardziej, że oddział był wyczerpany samotnym, ciężkim, około trzystukilometrowym rajdem z rejonu Starej Huty znad Słuczy i Horynia, w terenie opanowanym i naszpikowanym uzbrojonymi upowskimi bandami, z którymi toczył po drodze walki i potyczki.

Rannych i pierwszych chorych na tyfus plamisty zostawiliśmy w Samoobronie w Przebrażu pod dobrą opieką medyczną i ochroną gwarantującą bezpieczeństwo.

Forsowny, wyczerpujący marsz wysuszał piechurom gardła i wyciskał na czoło krople potu, chociaż noc była nieco mroźna. Z koni ciągnących załadowane po brzegi wozy taborowe buchały kłęby pary, a spocona na nich sierść zwijała się i układała w fakturę karakułowego futra. Tempa marszu nie zwalniano. Byliśmy gdzieś na wysokości wsi Lubcze, gdy z tyłu za nami nastąpił

błysk i eksplozja. To nasi minerzy zrobili Niemcom prezent, wysadzili tor kolejowy.

Powoli mrok nocy zaczynał ustępować promykom wschodzącego słońca, a my nie zwalniamy tempa marszu. Odpoczynki są rzadkie i krótkie. Tak krótkie, że nie zdążymy wypalić papierosa.

Już było po wschodzie zimowego styczniowego słońca, które w tym dniu jakoś tak jaskrawo, czerwono wschodziło. Poranek był mroźny, bezwietrzny i suchy. Chciało się pić. W manierce nie zostało ani kropli wody. Oddział wreszcie osiągnął teoretycznie, względnie bezpieczne miejsce, zatrzymując się na zasłużony odpoczynek w futorze pomiędzy miejscowościami Tykotyniem a Ożdżarami. Przez całą tę styczniową noc odskoczyliśmy od poprzedniego miejsca postoju około trzydziestu kilometrów. Jest to wcale nie mało, jak na spieszony oddział.

Dziś już mija czwarty dzień ciągłego marszu i jak dotąd bez walk i niepowodzeń, chociaż posuwamy się w terenie kontrolowanym przez upowców. Jedyne zwiad konny wczoraj w rejonie Słobodarki i Janówki natknął się na nieduży ukraiński oddziałek, który po krótkiej wymianie strzałów w pośpiechu wycofał się, bojąc się zetknąć z naszą główną siłą, tym bardziej, że fama niosła, iż przesuwa się w kierunku zachodnim nie stu kilkudziesięcioosobowy oddział, lecz kilku tysięczny z własną kawalerią i artylerią.

Istotnie posiadaliśmy, jak już wspomniałem, dwa przeciwpancerne działka czterdziestopięciomilimetrowe. Działka te niewątpliwie robiły duże wrażenie, szczególnie na przypadkowo obserwujących maszerujący oddział. Fama potęgowała się, dwa działka urastały do dziesięciu albo i więcej. Mieliśmy też ze trzydziestu kawalerzystów z konnego zwiadu, którzy byli tak aktywni, że wszędzie było ich pełno. Zagony ich jak szalone pędziły całe dnie i noce w różne strony prowadząc rozpoznanie. Wszędzie było widać ruchliwych, wszędobylskich kawalerzystów. Toteż nic dziwnego, że i kawaleria także urastała do którejś potęgi.

To dobrze, że plotka taka szła przed nami i za nami. Dla „gospodarujących” w tym rejonie ukraińskich band nasza siła, a stąd postrach urastały do tego stopnia, iż mieszkańcy ukraińskich wio-

sek współpracujący z upowcami opuszczali je przed nami jakby ich kto wymiół. Niemcom w ciągu dnia za bardzo nie pokazywaliśmy się. Ale widocznie do nich także doszły już informację o „wielkiej partyzanckiej armii”, ponieważ coraz częściej na niebie ukazywały się niemieckie samoloty zwiadowcze.

Jednakże dzisiaj nie czekaliśmy wieczoru, by pod osłoną nocy wyruszyć dalej. Po kilkugodzinnym odpoczynku, zjedzeniu posiłku i nakarmieniu koni, wyruszyliśmy w rejon Oźdżar, w kierunku miejscowości Jesionówka i rzeki Stochód, by ją sforsować i osiągnąć rejon Sołotwin i Majdan na lewym brzegu Stochodu. Z Oźdżar do Jesionówki posuwaliśmy się polnymi i nienajlepszymi drogami, często na przełaj, po lodzie zamrzniętych bagien, rozlewisk i strumyków. Teren był z rzadka porośnięty drzewami, raczej karłowatymi, a gęsto przeróżnymi krzakami. Przez cały dzisiejszy dzień nie widzieliśmy żadnego patrolującego niemieckiego samolotu. Może dlatego, że dzień był pochmurny, niski pułap i nienajlepsza widoczność. Nasz zwiad, znów miał szczęście spotkać po drodze jakiś upowski konny patrol, który zemknął im z drogi. Nie doszło nawet do wymiany strzałów.

W piątym dniu marszu, w godzinach wieczornych osiągnęliśmy rzekę Stochód i przekroczyliśmy ją bez żadnych przeszkód, jednocześnie przekraczając granicę powiatu łuckiego i kowelskiego i wkroczyliśmy na terytorium tego ostatniego. Stochód bierze początek w powiecie horochowskim koło Twerdynia na Wołyniu, przybierając zrazu kierunek północno-wschodni, a dalej płynie na północ, aby znaleźć tam swoje ujście w poleskiej rzece Prypeci. W większości przepływa nizinnymi, podmokłymi terenami, w jesieni i na wiosnę tworząc ogromne rozlewiska, które z trudem mogłaby forsować nawet piechota. O żadnych zaś kolumnach taborowych nie ma mowy. Teraz jak okiem sięgnąć zamrznięte rozlewiska nie stwarzają żadnej trudności z forsowaniem ich. Po lodzie tych rozlewisk szliśmy dobre około godziny nie zauważając właściwego koryta rzeki. Po paru godzinach marszu dotarliśmy do kolonii Dąbrowa Stara, leżąca już w terenie zalesionym i ze względu na nieprzyjacielskie lotnictwo – bardziej bezpiecznym.

Resztę tego dnia i noc odpoczywaliśmy w Dąbrowie Starej. Nazajutrz rano wyruszyliśmy już bez zbytniego pośpiechu w kierunku kolonii Majdan, po osiągnięciu której osiągnęliśmy w zasadzie rejon koncentracji. Tu zatrzymaliśmy się na kilka dni.

Przez minione pięć dni byliśmy w ciągłym, trudnym i jakże niebezpiecznym marszu. Posuwaliśmy się drogami polnymi, nieraz gościńcami, ostępami leśnymi, po lodzie zamarzniętych bagien, mokradeł, strumyków i rzek. Maszerowaliśmy zakolami, aby ominąć niebezpieczne i zagrożone rejony. A te dodatkowe kilometry wchodziły w nasze nogi.

Po drodze, którą przemierzaliśmy przez pięć dni napotkaliśmy dużo osiedli ukraińskich i polskich. Ukraińskie, niektóre ze względu na bezpieczeństwo omijaliśmy, obawiając się ze strony Ukraińców bądź Niemców niespodzianek natury wojennej. Osiedla polskie z reguły były całkowicie lub częściowo spalone. Widniały tylko sterczące półrozwalone kominy, ruiny opuszczonych domostw, z których od czasu do czasu wyskoczył zdziczały kot lub pies. Widniały fragmenty płotów i parkanów, spalone kikuty drzew, które kiedyś rosły obok domostw, osłaniając od wichrów, a w lecie dawały ochłodę i cień dla mieszkańców. Gdzieś tam samotnie stoi żuraw przy studni, a w studniach zdarzało się, gdy chcieliśmy zaczerpnąć wody aby się napić i napoić konie, że natrafiliśmy na ciała pomordowanych Polaków. Często w rumowiskach i zgliszczach osiedli, które już tylko widniały na mapie, stały samotnie krzyże nad mogiłami pomordowanych.

To wszystko było dziełem sfanatyzowanych nacjonalistów ukraińskich budujących „Samostijną Ukrainę bez Lachów”. Ci rycerze spod znaku tryzub i swastyki stali się narzędziem w rękach niemieckich, u których hitleryzm stanowił istotną przyczynę wszystkich rzezi, morderstw, cierpień i strat jakie poniosła ludność polska na Wołyniu. Wszędzie po drodze wcześniej i później spotykaliśmy ślady tych zbrodni, ślady straszliwej wojny.

Osiągnięcie rejonu koncentracji.

Majdan nieduża kolonia zamieszkała przez Polaków, licząca zaledwie kilkanaście zagród. Mieszkańcy tej kolonii nie uszli, ani

nie zostali wymordowani przez upowców, gdyż leżała ona w rejonie działania oddziałów polskiej partyzantki. W Majdanie stacjonował stale oddział porucznika „Jurka”, który ochraniał mieszkańców kolonii Majdan i innych polskich kolonii przed napadami i rzezią upowców. Ten niewielki ośrodek oporu leżał na terenie powiatu kowelskiego, w terenie zalesionym, dziewięć-dwanaście kilometrów od magistrali kolejowej i szosy łączącej Kowel-Kiwerce-Łuck oraz stacji kolejowej Hołoby.

Podczas naszego parodniowego postoju w kolonii Majdan organizowana była przez miejscowe oddziały polskiej partyzantki i samoobrony wyprawa bojowa na stację Hołoby, której celem było zdobycie zasobnych w broń i amunicję niemieckich magazynów. W wyprawie tej bierzemy udział. Nie oszczędzono nas jako gości, właściwie dziwna by była taka kurtuazja. A więc zarządzono, że mamy przygotować się do operacji bojowej na stację Hołoby. Widziałem tę stację w innych okolicznościach w 1939 w jenieckim transporcie na wschód. Ciekaw byłem zobaczyć ją teraz. Nie wiedziałem jeszcze, że w niespełna dwa miesiące, zrzędzeniem losu jeszcze raz będę „gościł” w Hołobach. Specjalnych przygotowań do tej wyprawy nie czyniliśmy, gdyż byliśmy w marszu, a więc weszliśmy do akcji z marszu, co nie wymagało większej procedury organizacyjnej, przygotowawczej. Wyruszyliśmy wczesnym wieczorem, aby bez pośpiechu nad ranem oddział mógł osiągnąć, jako odwód, pozycje wyjściowe. Chociaż był to styczeń, noc nie była mroźna, lecz pochmurna i trochę ciemna. Mieliśmy do pokonania odległość może jedenastu kilometrów. Najpierw szliśmy leśnymi i polnymi drogami, wreszcie dotarliśmy do traktu osiągając wyznaczone nam pozycje odwodowe pomiędzy miejscowością Demiejanów a stacją kolejową Hołody. Zalegliśmy tam w przydrożnych rowach w odległości może dwa kilometry od stacji, oczekując na dalsze rozkazy. Zalegaliśmy na tej pozycji parę godzin, wreszcie zarządzono odwrót. Do uderzenia na stację i magazyny nie doszło z bliżej nie znanych mi powodów. Oddziały uczestniczące w tej wyprawie wycofały się bez strzału.

Wróciliśmy na dotychczasowe miejsce postoju w Majdanie. Tu któregoś dnia omal nie doszło do tragicznego wypadku. Jeden

z chłopaków zabrał się do czyszczenia kaemu. Przed tym nie rozbroił i dokładnie nie sprawdził kaemu czy w komorze naboju nie ma pocisku. Nacisnął na spust i nastąpił strzał, który niefortunnie trafił będącą w oborze krowę raniąc ją. Dobrze, że się skończyło na zranieniu krowy, ale ofiarą karygodnego gapiostwa mógł paść człowiek, a to by było doprawdy tragiczne. Sprawca został ukarany przez dowódcę, a koledzy jeszcze długo podśmiewali się z tego „pechowca”. Później nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć o podobnym przypadku.

W Majdanie zachorowało trzech żołnierzy – objawy bardzo wysoka temperatura ciała, silny ból głowy oraz majaczenie. To były początki epidemii tyfusu szalejącego jeszcze przez kilka tygodni w oddziale.

Uptywały styczniowe dni, gdy oddział partyzancki „Bomby” po dotychczasowych marszowych trudach odsapnął parę dni w kolonii Majdan, wyruszając dalej w głąb rejonu koncentracji, przesuając się o trzydzieści kilka kilometrów na południowy zachód w kierunku Włodzimierza Wołyńskiego.

Opuszczałem Majdan w miłej, fajnej rozterce, gdyż zostawała tam skromna, młodziutka, filigranowa, czarująca dziewczynka i parodniowy, niewinny młodzieńczy romans. Przykro było się rozstawać. Zawsze wszystkie pożegnania i rozstania są przykre, to jednak wyjątkowo, ale rozumieliśmy przecież, że jestem żołnierzem, a żołnierskie obowiązki i losy rzucają gdzieś w dal i nieznaną przyszłość. Wydawałoby się, że to takie zwyczajne. Bez żenady przyznaję jednak, że skrawek mego młodzieńczego serca na długo tam pozostał.

Znów po drodze mijamy zamieszkałe i opuszczone wsie i osady. Te opuszczone, niektóre są całkowicie lub częściowo spalone. Widać, że tędy także przechodziła straszliwa wojna i sfaszyzowane ukraińskie hordy rezunów, pozostawiając po sobie zgliszcza, popioły i mogiły, jak je kiedyś pozostawiały dzikie tatarskie, kozackie hordy. Przechodzimy między innymi przez miejscowości Budy, Ozierany, Suszy Baba i wreszcie osiągamy wieś Nyry leżącą niedaleko Kupiczowa, możnaby powiedzieć stolicy partyzanckiej republiki.

Zostaliśmy zakwaterowani w Nyrach, w bliskim sąsiedztwie Kupiczowa. Odizolowani od innych oddziałów, żeby nie przenosić zarazy tyfusu plamistego, szalejącego już w naszym oddziale. Panująca epidemia tyfusu ograniczyła zdolność bojową oddziału. Toteż nie przypadkowo wyznaczono nam empe w bliskim sąsiedztwie silnej bazy samoobrony w Kupiczowie, żeby w jakimś sensie ochronić nas od kłopotów natury wojennej.

Prócz tego ubezpieczały Kupiczów i nas stacjonujące w niedalekim Lityniu partyzancki oddział „Siwego”, jak też oddziały „Sokoła” i „Jastrzębia” współdziałające z radzieckimi oddziałami partyzanckimi, wciąż jeszcze oczyszczające świniarzyńskie lasy z upowskich band. Jedna po drugiej padały upowskie bazy jak: Świniarzyn, Gnojno, Czernijów. A więc niebezpieczeństwo napadu upowców nie groziło naszemu wyczerpanemu i zdziętkowanemu epidemią oddziałowi. Mimo to zawsze byliśmy w gotowości bojowej z tą częścią żołnierzy, których nie dotknął jeszcze tyfus. Zawsze wystawiano ubezpieczenia, stale patrolowano rejon wsi, utrzymywano dyscyplinę i gotowość bojową.

Co zaś do Kupiczowa, zwanego także partyzancką stolicą. Była to wielka osada licząca paręset zabudowań i dość silnie zorganizowaną bazę samoobrony. Zamieszkują tu przeważnie Czesi, którzy przed ponad stu laty osiedlili się na Wołyniu. Polaków i Ukraińców do wojny niewielu mieszkało w Kupiczowie. Teraz Polaków tu mieszka bardzo dużo. To są ci, którzy niemalże cudem uniknęli śmierci z rąk sfanatyzowanych hord ukraińskich, nacjonalistów „rezunów” i znaleźli tu schronienie. Ci którzy tu się schronili, mieszkają u swoich, bądź u Czechów lub w opuszczonych przez Ukraińców, którzy uszli z upowcami, domach. Ale kilkoro Ukraińców zostało w Kupiczowie, którzy nie ulegli nacjonalistycznemu szaleństwu, jakie ogarnęło ich pobratymców. Otrzymali oni od swoich za to, że nie solidaryzowali się z ideologią i hasłami ukraińskiego nacjonalizmu, wyroki śmierci. Lecz tym nie przejmowali się zbyt, spokojnie sobie żyli wśród Polaków i Czechów z kupiczowskiej samoobrony, pod opieką polskich partyzantów. Stosunki narodowościowe w Kupiczowie są na wskroś internacjonalistyczne. Nie ma żadnych zadrażnień, niepo-

rozumień. Polacy rozmawiają po polsku, Czesi po czesku, Ukraińcy po ukraińsku. Wszyscy się doskonale rozumieją. Zresztą na Wołyniu taki konglomerat językowy od wieków istniał.

Są tu też trzy świątynie ewangelicka, katolicka i prawosławna. Przy placu położonym po środku osady stoi zabytkowa modrzewiowa cerkiew. Przy głównej ulicy – nowoczesny kościół ewangelicki ze strzelistą wieżą. Część zamieszkujących tu Czechów jest ewangelikami. Na skraju osady, oparkaniony sztachetami stoi murowany nieduży kościół katolicki. Opodal punkt obserwacyjny na wieży triangulacyjnej, z którego widać daleką okolicę. W odległym horyzoncie ogromny świniarzyński leśny masyw. Na tym punkcie obserwacyjnym od świtu do zmroku stoi partyzant z lornetką, czuwając nad bezpieczeństwem Kupiczowa, a nad nim powiewa biało-czerwona flaga.

Samoobronę w Kupiczowie zorganizował porucznik „Wilczur” (Skomorowski). Oficer rezerwy, z zawodu nauczyciel. Był tu kierownikiem szkoły, a teraz dowodzi silnie zorganizowaną samoobroną. Zawdzięcza mu życie wielu Polaków, Czechów a nawet Ukraińców, którzy pozostali u niego.

Kupiczów to nie tylko silna samoobrona i „stolica” ale przede wszystkim jest to baza zaopatrzeniowa partyzanckiego kraju. Tu się produkuje wszystko. Twarde i miękkie skóry na obuwie, siodła i uprząż i kozuchy. Są tu warsztaty krawieckie, szewskie, kowalskie, kołodziejskie. Przędą tu nici i robią wełniane swetry, skarpety, rękawice. Wyrabiają tu mydło z sody kaustycznej, łożu lub innych odpadów tłuszczu zwierzęcego. Nie jest to wprawdzie mydło gatunku Palmolive lub Yardleya, ale do prania nadaje się znakomicie, lepsze jak na wpół z gliną niemieckie, przydzielane na kartki. W rusznikarni naprawia się broń. Z buraków cukrowych warzą syrop, który częściowo zastępuje brak cukru. Robią tu także bimber, doskonałe wędliny. Słowem marzenie baza zaopatrzeniowa.

Mimo tego trudne jest tu życie Polaków – uciekinierów. Niektórym uchodząc przed upowcami, udało się zabrać ze sobą trochę zapasów żywności i innych. Niektórzy z uciekinierów pracują na opuszczonych, ukraińskich gospodarstwach. Pracują też na

gospodarstwach u miejscowych. Trochę zboża, ziemniaków, paszy dla bydła, trzody i drobiu zebrano z okolicznych pól i gospodarstw opuszczonych wsi ukraińskich a znajdujących się w zasięgu działania polskiej partyzantki.

Nyry, w których stacjonujemy to wieś niezamieszkała przez tubylców. Leży dwa lub trzy kilometry na wschód od Kupiczowa. Wszystkie domostwa opuszczone, parę spalonych, gdzieniegdzie sterczą tylko kikuty kominów i opalonych drzew, lub osamotniony studzienny żuraw. Wieś tę zamieszkiwali w części Polacy, a w części Ukraińcy. Polacy zostali wymordowani, a zagrody ich spalone. Niewielu udało się ująć z życiem i ci obecnie mieszkają w Kupiczowie. Ukraińscy mieszkańcy tej wsi opuścili ją z chwilą, gdy zostały przepędzone nacjonalistyczne oddziały UPA, a kontrolę nad tym rejonem przejęły oddziały polskiej partyzantki.

Zagrody, które pozostały we wsi, a jest ich kilkanaście, położone są po obu stronach piaszczystej drogi na przestrzeni bodajże dwóch kilometrów. Zagrody oddalone jedna od drugiej o paręset metrów. Niektóre domostwa są nowe, duże, schludne. Niektóre stare, małe z małymi oknami, przeważnie jednoizbowe, słomiane strzechy, na zewnątrz pomalowane kredą lub wapnem na biało lub niebiesko w zależności, czy w domu tym jest panna na wydaniu. W chatach stoi ogromny piec, w którym się gotuje strawę, wypieka chleb i ogrzewa chatę. W czeluściach takiego pieca mógłby swobodnie zmieścić się i przespać człowiek. Na wierzchu pieca jest miejsce dla trzech lub czterech osób. Piec taki zbudowany jest z gliny i częściowo z cegły. W izbie dookoła ustawione są ławy, a u góry pod sufitem zawieszonych jest mnóstwo ikon. Niektóre z nich przybrane są ręcznikami zdobionymi z wybielanego lnianego płótna ręcznie, misternie wykonanym haftem w przeróżne wzory o ludowych lub sakralnych motywach. Nierzadko po wypraniu służyły one nam jako ręczniki, które na co dzień używaliśmy.

Rozkwaterowaliśmy się w tych domostwach drużynami lub plutonami w zależności jak duża była zagroda. Pluton ciężkich karabinów maszynowych zakwaterowano w dość dużym i ładnym schludnym domostwie. Nie było tu żadnego sprzętu, mebli, ani

łóżek. Pierwszą noc przespaliliśmy na podłodze pościelonej słomą. Nazajutrz naprędce zrobiliśmy prowizoryczne prycze, które miały zastąpić nam łóżka. Zresztą o łóżkach, pościeli, rozbieraniu się do spania dawno zapomnieliśmy. Spaliśmy na prowizorycznych barłogach, w ubraniu, przykrywaliśmy się swoimi płaszczami lub kożuchami. W innych plutonach było to samo. Warunki nie do pozazdroszczenia. Najgorsze w tym wszystkim, że cały oddział był zawszony. Nie sposób w takich warunkach ochronić się od wszy i od tyfusu. Stąd też z dnia na dzień wzmaga się epidemia tyfusu, z którą walka wydaje się bardzo trudna, tym bardziej, że swego oddziałowego lekarza, ani żadnych leków nie mamy. Mamy jedynie trzy dzielne sanitariuszki: Nałę, Łodzię i Jadzię i ich bardzo skromne zapasy lekarstw jak: jodyna, aspiryna, piramidon, riwanol, proszki od bólu głowy – to wszystko czym dysponujemy. Chorych coraz więcej. Już w czasie ciężkiego marszu do rejonu koncentracji mieliśmy kilku chorych, dla których szpitalem, czy izbą chorych były wozy taborowe. teraz mamy ich już kilkunastu. Wciąż któryś z chłopaków gorączkuje i skarży się na ból głowy. Są to objawy zarażenia tyfusem. Więc następny kandydat do powiększenia stanu chorych. A jest ich i tak już niemało.

Bliskie sąsiedztwo z Kupiczowem, raczej ze szpitalem w Kupiczowie nie rozwiązywało sprawy walki z epidemią. Po pierwsze nie można było lokować nowych „tyfuśników” w szpitalu, żeby nie rozprzestrzeniać epidemii. Po drugie, to z bezustannie prowadzonych walk napływ rannych był tak duży, że coraz to powiększono szpital, szukając nowych pomieszczeń.

Sąsiedztwo to zapewniało natomiast dobrą opiekę medyczno-sanitarną wykwalifikowanej służby zdrowia, większe możliwości zaopatrywania się w leki, aczkolwiek szpital również odczuwał poważny ich brak.

W takiej sytuacji, zaraz w dwa dni po przybyciu do Nyr, przydzielono do naszego oddziału doświadczonych lekarza medycyny dr „Gryfa” (porucznik Grzegorz Fedorowski) i sanitariuszkę „Danę” (Janina Włodarska). Oni też wspólnie z naszymi sanitariuszkami przystąpili do organizowania improwizowanego szpitala, ściślej – improwizowanej izby chorych.

W tym celu przygotowano dwa obok siebie stojące domostwa. Chłopcy z plutonów ściągnęli gdzieś ze wsi parę łóżek, parę zaś sklecono z naprędcie zbitych desek, i w ten sposób przygotowano miejsce dla kilkunastu chorych. Siostra „Dana” przywiozła z Kupiczowa trochę pościeli i bielizny osobistej. Umyto i postrzyżono naszych chłopców, przebrano w czystą bieliznę i położono ich w izbie chorych. Wprawdzie nie wszystkich położono w czystą pościel, ale przynajmniej na czystej i nie zawszonej słomie. Następnie „Gryf” z podległym personelem przeszedł się po wszystkich kwaterach. Przebadał wszystkich partyzantów, a tych którzy skarżyli się na ból głowy i podniesioną temperaturę natychmiast kierował na izbę chorych. W ten sposób rozpoczęła się walka z tyfusem. W każdym plutonie, w każdej drużynie rozpoczęliśmy walkę z epidemią. Zaczęliśmy tępić wszy, bo przecież one są przede wszystkim roznosicielem tyfusu. Tępiiliśmy je jak kto mógł i jak pozwalały możliwości. Bieliznę osobistą gotowaliśmy w garnkach lub wiadrach. Wrzucaliśmy także „garderobę” do rozgrzanych pieców i w nich prażyliśmy nasze łachy albo też wyrzucaliśmy naszą wierzchnią odzież na kilka godzin na mróz, szczególnie dotyczyło to kożuchów, których przecież nie można było prażyć w piecu, ani gotować lub prać. Ale zawsze jest jakieś wyjście. Ktoś poradził, żeby nakrywać zawszonymi kożuchami spocone konie. Miał to być niezawodny środek. W naszych partyzanckich warunkach, próbowaliśmy wszystkich środków i sposobów dostępnych nam, co doprowadzało jednak, że wszy zaczynały powoli zanikać. Mimo to epidemia szerzyła się w dalszym ciągu. Coraz to któryś z chłopców dostawał wysokiej temperatury ciała i zabierano go do izby chorych. Rotacja w izbie chorych była duża. Z powodu ograniczonej ilości miejsc, tych żołnierzy którzy powłóczyli jeszcze nogami, ale jako tako mogli się na nich utrzymać, choć wychudzonych i wymizerowanych zabierano z izby chorych na rekonwalescencję do plutonów.

Wreszcie po kilkunastu dniach tej batalii, prowadzonej przez naszą służbę zdrowia i wszystkich żołnierzy w polowych i jakże prymitywnych warunkach sanitarno-epidemiologicznych, przy szczupłości środków leczniczych, epidemię udało się opanować.

Uznano to za duży sukces „Gryfa” i jego personelu, sanitariuszek „Dany”, „Neli”, Łodzi i Jadzi. Mimo wszystko śmierć zabrała nam paru naszych partyzantów „Kacasia” (St. Janickiego) i Mirka Woźniaka, mężnych żołnierzy, wspaniałych kolegów.

Minęły już te okropne styczniowe dni. Dni ciężkich, trudnych i niebezpiecznych marszów, zmagających z epidemią i walki ze śmiercią.

Nastał mroźny i śnieżny luty, jak według ludowego wołyńskiego przysłowia: „pyta luty, czy masz dobre buty”. I rzeczywiście, przyszły siarczyste mrozy i duże opady śnieżne. Śnieg padał prawie bez przerwy. Puszysty, biały śnieg pokrywał coraz grubszym całunem drzewa i ostępy leśne, pola i zagrody. W promieniach zimowego słońca, lub w świetle księżyca skrzył się milionami błysków, aż oczy bolały patrzeć. To wszystko zapowiadało jeszcze tęgą zimę. Chyba popyta jeszcze nas luty, czy mamy dobre buty. Buty mieliśmy jeszcze dobre, a i mrozu nie baliśmy się. Czyż straszniejszy może być siarczysty mróz, śnieg, tęga zima od strasznej epidemii tyfusu?... z którą jakoś się uporano. Mamy wprawdzie jeszcze kilkunastu chorych i zapewne będą jeszcze pojedyncze przypadki zachorowań, ale to już nie szalejąca epidemia. Żołnierze, którzy przeszli tyfus wracają stopniowo acz powoli do zdrowia. Ci którzy nie chorowali, przez te kilkanaście dni pobytu w Nyrach już odpoczęli po przeżyciach i trudach przemarszu. Doprowadzili siebie trochę do porządku, a i oddział zaczął nabierać względnej gotowości bojowej i nie musiał przebywać już pod skrzydłami opiekuńczymi silnej bazy samoobrony w Kupiczowie. I oto nadszedł rozkaz wymarszu do nowego m.p. Rzewuski nad rzekę Turię, w rejon lasów świniarzyńskich, aby oczyszczony z upowców teren wspólnie z innymi polskimi i sowieckimi oddziałami partyzanckimi zabezpieczyć przed upowcami i Niemcami.

Tadeusz Wolak

WARTO O TYM WIEDZIEĆ

1. Wojskowi skoszarowani na Wołyniu z językiem polskim i innym według spisu 9 grudnia 1921 r.¹

Miasto	Obecnych	w tym osób	
		z językiem ojczystym	innym
Dubno	1306	1298	8
Horochołów	-	-	-
Kostopol	528	445	83
Kowel	855	839	16
Krzemieniec	1379	1318	61
Luboml	-	-	-
Łuck	739	631	108
Równe	4611	4328	283
Sarny	833	722	161
Włodzimierz	2795	2124	671
Zdołbunów	1296	1250	46
Razem	14392	12955	1437

2. Liczba Wojska Polskiego skoszarowanego według spisu z 9 grudnia 1931 r. 191473 głów. W tej liczbie było 156263 Polaków oraz 35210 osób o języku ojczystym innym, w tym 16795 Ukraińców.
3. W Wojsku Polskim służyło 24 oficerów wyznania greckokatolickiego i 140 prawosławnych.
4. Do Wojska Polskiego zakontraktowano (dane z sierpnia 1938 r) 35 oficerów z b.armii UNR (Petlurowców).

5. Uposażenie miesięczne wojskowych zawodowych²

Stopnie	Uposażenie zasadnicze	Dodatki funkcyjne i służbowe w wojsku
---------	-----------------------	---------------------------------------

	samot- nych	utrzym. rodzinę w złotych	inspektor armii 1200zł dowódca dywizji 700 zł dowódca pułku 350 zł d-ca baonu piech. 155 zł d-ca kompanii 105 zł d-ca plutonu 75 zł
Marszałek	3000		Oprócz wymienionych dodatków istniały inne- go rodzaju dodatki: aeronauczny na uzu- pełnienie wykwapo- wania, przeciwgazowy, techniczny
Generał broni	2000		
Generał dywizji	1500		
Generał brygady	1000		
Pułkownik	632	713	
Podpułkownik	524	580	
Major	435	490	
Kapitan	345	400	
Porucznik	265	324	
Podporucznik	206	266	
Chorąży	230	300	
Starszy sierż.	194	264	
Plutonowy	151	201	
Kapral	137	167	

6. Odznaczenia wojenne 1918-1938

Odznaczeni	Order „Virtuti Militari					Krzyż walecznych
	klasy					
	I	II	III	IV	V	
Ogółem:	6	19	14	50	8300	60000
w tym:						
cudzoziemcy	5	7	11	44	187	
polegli	-	-	-	-	1800	
żyjący	6	19	14	50	6500	

7. Odznaczenie niepodległościowe 1918-1938

Odznaczeni	Krzyż Niepod- ległości z Mie- czami	Krzyż Niepod- ległości	Medal Niepod- ległości
------------	---	---------------------------	---------------------------

Ogółem	1816	35258	51735
w tym: polegli	323	7917	3019
żyjący	1443	27434	48716

Władysław Siemaszko

¹ Główny Urząd Statystyczny, sygn.VIII 6/123, Formularz F.Wojsko skoszarowane na Wołyniu 9.XII.1931 r.

² GUS, Mały rocznik statystyczny 1939r., tabl.41, uposażenie miesięczne wojskowych zawodowych; tabl.5, nadanie niektórych odznaczeń wojskowych.

BIOGRAFIA KS. KAPELANA ANTONIEGO DĄBROWSKIEGO PS.”RAFAŁ” (1910-1945)

Urodził się 4 listopada 1910r. w miejscowości Wrocki (powiat Brodnica) w rodzinie rolnika Antoniego i Marianny z Tylmanowskich. Był najstarszym z siedmiorga dzieci. Ukończył gimnazjum w Brodnicy, świadectwo dojrzałości otrzymał w 1932r. W latach 1932-1938 studiował w seminarium duchownym w Pelplinie. W dniu 11 czerwca otrzymał święcenia kapłańskie. Mszę św. Prymicyjną odprawił w Chełmży.

Po święceniach kapłańskich, z polecenia biskupa Stanisława Okoniewskiego, pracował w Kowlu na Wołyniu jako kapelan Hufca Junackiego. Od 1940 roku współorganizował na Wołyniu zręby konspiracji.

W czasie wojny był wikarym w Kowlu. Plebania oraz kancelaria kościoła w którym służył, była ruchliwym punktem przekąźnikowym i kontaktowym. Pod pretekstem załatwiania formalności kościelnych (metryka, chrzest, ślub) pośredniczył w wymianie wiadomości bądź wprost kontaktował ze sobą odpowiednie osoby z KG AK, inspektoratów i odcinków AK.

W czerwcu 1941 roku w Kowlu zaczęto organizować ZWZ, którego ofiarnym organizatorem był ksiądz Dąbrowski.

Był prawdopodobnie jedynym kapłanem w diecezji łuckiej, który pracował we władzach cywilnych Polskiego Państwa Podziemnego. W 1943 r. pełnił funkcję jednego z dwóch zastępców delegata okręgowego w Okręgowej Delegaturze Rządu na Wołyniu. Używał pseudonimu „Attar”. Kierował pracami Biura ODR i Wydziału Opieki Społecznej.

W latach 1942-1944 był także kapelanem Armii Krajowej (pseudonim „Rafał”). W styczniu 1944 r. opuścił Kowel, udając się - w charakterze kapelana - na miejsce koncentracji oddziałów partyzanckich. W 1944 r., został kapelanem 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK (zgrupowanie „Gromada”). Jego służba duszpasterska miała swoje istotne znaczenie w tamtejszym katolickim środowisku wojska, kształtowała jego morale, pojęcie czystej walki, podnosiła ducha żołnierzy w najtrudniejszych okresach walk. Jako kapelan brał udział w działaniach bojowych podejmowanych przez zgrupowanie „Gromada”, które zakończyły się jej rozbrojeniem przez Armię Czerwoną pod Skrobowem na Lubelszczyźnie. W tym czasie ks. Dąbrowski ciężko chorował na tyfus i był w szpitalu w Lublinie, gdzie po wyzdrowieniu pracował jako kapelan.

8 stycznia 1945 r., na ulicy w Lublinie, został aresztowany przez funkcjonariuszy NKWD i przewieziony do więzienia na warszawskim Mokotowie.

Według zeznań majora Bronisława Szymańskiego, biorącego udział w zamordowaniu ks. Dąbrowskiego jego ostatni dzień życia wyglądał następująco: w końcu maja lub czerwca 1945 roku (dokładnej daty major Szymański nie pamięta) do warszawskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego po księdza przyjechali funkcjonariusze UB, wsadzili go do samochodu i pojechali w kierunku Lublina. Po przejechaniu około 20-30 km, skręcili z szosy do niedużego lasu, gdzie został rozstrzelany. Zwłoki przykryli gałązkami i lekko przysypali piaskiem. Sutanę księdza i książki spalili.

Według materiałów IPN przypuszczalna data śmierci księdza Antoniego Dąbrowskiego to 25 maja 1945 r. Miejsce śmierci i pochówku do tej pory jest nieznane.

Szkic do wojkowego życiorysu księdza Dąbrowskiego zacząć trzeba w Kowlu na Wołyniu, zajęтым przez wojska sowieckie 20 na 21 września 1939 r. Sowieci weszli do miasta właściwie bez walki, jeżeli nie liczyć potyczki z grupą polskich policjantów, którzy pilnowali porządku w mieście po wycofaniu się ostatnich jednostek wojskowych, ale nie mieli żadnych szans, aby powstrzymać sowieckie wjeżdżające czołgi.

W Kowlu, jednym z trzech największych miast kresowego województwa wołyńskiego, dzieliła się polska społeczność nie-licznych życzliwych dla nowej władzy i lojalnych zdecydowanych jakoś przeżyć, uparcie trwających przy polskości, zdecydowanych łączyć się w konspiracyjnych grupach, szukających kontaktu ze Lwowem i nawet z Warszawą.

Wśród tworzących zręby konspiracji patriotów nie brakuje księży. Bez namysłu wchodzi w podziemne struktury ks.infułat Marian Tokarzewski, pomaga mu wieloletni katecheta gimnazjalny Jan Szpaczyński oraz cieszący się wielkim szacunkiem w kowelskiej parafii księża: Antoni Piotrowski i Antoni Dąbrowski.

Ksiądz Dąbrowski, we wrześniu 1940 r. pisze w liście do matki: „Jestem w Kowlu, pracuję jak przedtem. Brat starszy jest na wypoczynku, ja pracuję i ze mną jeszcze koledzy. Pracy dużo, ale klimat jest mokry, więc na zdrowiu się odbija”. Na pierwszy rzut oka widać, że ksiądz Dąbrowski szyfruje informacje, które postanowił przekazać rodzinie mieszkającej w powiecie brodnickim już pod okupacją niemiecką, po inwazji w 1939 r. włączonym do Rzeszy. ”Wypoczynek” starszego brata to zapewne wiadomość o aresztowaniu przez władze sowieckie księdza infułata Tokarzewskiego. A „mokry klimat” chyba skarżył się na zagrożenie ze strony NKWD – penetrującymi siatki polskich konspiracji?

Ksiądz Antoni Rafał Dąbrowski pracował wówczas na Wołyniu już od dwóch lat. Wyjechał do Kowla po ukończeniu Semina-

rium Duchownego w Pelplinie i otrzymaniu święceń kapłańskich w czerwcu 1938 r. Tu młody ksiądz związał się z konspiracją w okresie okupacji sowieckiej.

W roku 1941 do Kowla wkraczają Niemcy, wcale nie gorzej się od Sowietów zabrali do przeciwdziałania polskiemu podziemiu. Wpadają w ręce Niemców księża: Piotrowski i Dąbrowski, ale nadal działają. Kościół parafialny trwa jako miejsce przekazywania informacji, jest bazą dla łączników i kurierów rozwijających się struktur Armii Krajowej. To proboszcz Piotrowski, dzięki swoim kontaktom z różnymi grupami wyznaniowymi, od kowelskich Żydów otrzymał pół kilograma złota bardzo przydatnego dla wsparcia budżetu tworzonej na tym terenie 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

Obaj księża zostają w mieście, gdy rozpoczyna się mobilizowanie oddziałów 27. Dywizji, która ma wejść do walki. Od stycznia roku 1944 ksiądz kapelan Piotrowski będzie bardziej znany jako kapitan „Prawdziec”, a ksiądz Dąbrowski jedno ze swoich imion Rafał przyjmuje jako pseudonim. Zostaje kapitanem „Rafałem” kapelanem, obejmując służbę duszpasterską w zgrupowaniu „Gromada”, wchodzącym w skład 27. Dywizji.

Do szkicu portretu księdza kapelana „Rafała” trzeba wspomnieć o nabożeństwie dla ... dezerterskich w miejscowości Suszababa. 21 stycznia do organizującej się dywizji dołączyło ponad 400 młodych ludzi, służących wcześniej w niemieckiej policji pomocniczej. W przeważającej większości pochodzili z Wołynia, więc nie trzeba ich było długo namawiać, aby całym batalionem przeszli do „partyzantów” i przed polowym ołtarzem złożyli przysięgę na wierność sprawie polskiej.

Jest też ksiądz „Rafał” przed polowym ołtarzem 11 lutego, w Ossie. W innym terminie w Rzewuszkach przyjmuje przysięgę nowoprzybyłych żołnierzy do Dywizji.

Ksiądz „Rafał” stanie jeszcze wiele razy przed polowym ołtarzem, aby głosić Ewangelię, modlić się, dodawać odwagi i przypominać o Ojczyźnie.

Kapelan ks. „Rafał” w dywizyjnym zgrupowaniu „Gromada” podczas wielokilometrowych przemarszów spod Kowla na Lubelszczyznę, pokonywania nadbużańskich mokradeł, bagien i rzek, szedł jak inni po szyć w wodzie, pomagał przy niesieniu rannych i amunicji. Oficerowi nie wolno było narzekać na głód, odbierający chęć do stawiania każdego następnego kroku. Nie mógł kapelan kląć na poranione nogi i plagę komarów. Musiał dodawać innym odwagi, optymizmu i udawać, że marsz w tych piekielnych warunkach jest możliwy. Może miał lepszą kondycję od innych. Wówczas, gdy widział zabitych, a brakowało możliwości i czasu, aby ich godnie pochować, konających pod bombami, ogniem artylerii lub w podpalonym i atakowanym przez własowców w lesie błogosławił, żegnał słowami modlitwy.

W szkicu do jego portretu powinny znaleźć się relację z bitew i potyczek: z upowcami nad Stochodem i w Ośmigowiczach, z Niemcami – o Hołoby, pod Sztuniem, Zamłyniem, Czmykosem, Maszowem, nad Bugiem. I wielu jeszcze innych miejscach czy miejscowościach, w których znalazł się kapelan „Rafał”, gdy Dywizja pisała swoją historię, okupioną stratą kilkuset zabitych.

Po przejściu Bugu nie było księdza kapelana w oddziałach dywizji, bo zmógł go tyfus. Ukrywano go na plebani w Huszczy. Nie było też, kiedy była otoczona dywizja ciasnym pierścieniem przez Sowietów, kiedy akowcy składali broń, mając jeszcze przed oczami rodaków wiwatujących na ich cześć, gdy jako polskie wojsko wkraczali do Lubartowa, Kamionki, Kocka, Szczebrzeszna i kilkunastu innych lubelskich miejscowości.

Po rozbrojeniu akowscy z 27. Dywizji dostają propozycję zgłoszenia się do Wojska Polskiego zwanego wówczas „berlingowcy”, nieliczni wyrażają zgodę. Zdążyły już dotrzeć informacje o aresztowaniach i wywożeniu do ZSRR żołnierzy AK.

Z każdym dniem, miesiącem w „wyzwolonym” Lublinie rośnie liczba aresztowanych żołnierzy Armii Krajowej, jak też żołnierzy 27. Dywizji. Do więzienia na Zamku Lubelskim trafiają m.in. por. Michał Fijałka – „Sokół” i mjr Jan Szatowski – „Ko-

wal”. Pojawia się wiadomość, że „sypie” aresztowana w tym czasie sanitariuszka dywizji „Bogusia”, która po zwolnieniu z więzienia zaskoczy wszystkich znajomych małżeństwem z funkcjonariuszem bezpieczeństwa Bronisławem Szymańskim, absolwentem szkoły NKWD w Kujbyszewie. Zostaje też aresztowany ks.kapelan „Rafał”. Dotąd nie ma odpowiedzi na pytanie, czy aresztowanie ks.”Rafała” w jakiś sposób związane jest z „Bogusią”. Wiadomo, że w styczniu 1945r. kapelan 27.Dywizji wpadł w ręce PKWN-owskiego bezpieczeństwa. Dotarły wiadomości więzionego od podchorążego Tadeusza Jamroza „Zgrzyta”, który napisał:

„Od 7 tygodni w piwnicy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na ul.Krótkiej w Lublinie byłem badany i katowany nie do opisania. Siedzi z nami kilkunastu akowców i jeden ksiądz z partyzantów (...) niestety jesteśmy w rękach nie ludzi, ale zwierząt. Znęcają się i katują nas, tak jak chyba nawet Niemcy tego nie robili”...

Podchorąży „Zgrzyt” został rozstrzelany na Zamku Lubelskim w kwietniu 1945 r. Prawdopodobnie już w tym czasie księdza „Rafała” przewieziono do dyspozycji MBP w Warszawie.

Wspomniany mjr Szymański przez organa NKWD odwołany w 1954 r. do powrotu do ZSRR, po ujawnieniu tajemnic przez zbiegłego wcześniej na Zachód płk Józefa Światło, o naruszaniu praworządności w MBP. To było w czasie wiążącym się ze zwrotem w radzieckiej polityce Nikity Chruszczowa.

Z zeznań złożonych przez majora Bronisława Szymańskiego w Gacznynie pod Leningradem (po jego odwołaniu do ZSRR) w dniach 15 i 16 grudnia 1954 r., które trwały 9,5 godziny prowadzone przez pułkowników KGB – Gniuszewa i Zabotina. Teksty przesłuchań, to materiał ilustrujący zbrodnie funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Z protokołów zeznań majora Bronisława Szymańskiego.

Pytanie: Podajcie nazwisko rozstrzelanego przez was Księdza?

Odpowiedź: Jego nazwisko Dąbrowski, imię chyba Jan.

W okresie okupacji Polski przez wojska niemieckie był kapelanem 27. Dywizji AK. Aresztowano go na początku 1945r. na podstawie podejrzenia o aktywną działalność podziemną i związku z AK. Ja sam w śledztwie w sprawie Dąbrowskiego nie zajmowałem się, ale z rozmów z pracownikami wydziału śledczego wiem, że podczas przesłuchań zachowywał się prowokacyjnie. Dowodów w jego sprawie, prawie nie było i dlatego powstało pytanie, co z nim zrobić. Przez kogo i na jakiej płaszczyźnie rozstrzygła się ta sprawa, także nie wiem. Ale pewnego razu, było to w końcu maja lub w czerwcu 1945r. wezwał mnie do siebie naczelnik wydziału śledczego Różański i powiedział, że wieczorem będę musiał wziąć samochód i pojechać z nim do warszawskiego WUBP.

Pytanie: Czy Różański określił wam cel tego wyjazdu?

Odpowiedź: Nie pamiętam. Rozmowy takiej pomiędzy nami nie było, bo jakoś utrzymała mi się tylko rozmowa Różańskiego z naczelnikiem WUBP płk Dominikiem, z której dowiedziałem się, że mamy zabrać z Urzędu księdza Dąbrowskiego.

Pytanie: zznajcie bardziej szczegółowo o okolicznościach treści wspomnianej przez Was rozmowy Różańskiego z Dominikiem.

Odpowiedź: Kiedy przyjechaliśmy do warszawskiego Wojewódzkiego Urzędu, w podwórzu podjazdu spotkał nas Dominik. Różański przywitał się z nim i powiedział, że przyjechaliśmy po księdza Dąbrowskiego. Po wysłuchaniu Różańskiego, Dominik od razu wydał komuś ze swoich podwładnych polecenie załatwienia prawnych formalności zwolnienia spod straży księdza Dąbrowskiego.

Treści dalszej ich rozmowy nie znam, ponieważ oni wszyscy, w tej liczbie Wróblewski i Szewczyk weszli do budynku urzędu, a ja zostałem na podwórzu przy samochodzie. Po upływie około godziny Wróblewski, Szewczyk, i o ile pamiętam także Dominik, wyszli z budynku urzędu, wyprowadzając ze sobą księdza Dąbrowskiego. Teraz nie mogę przypomnieć sobie, czy Dominik pojechał razem z nami, ale pamiętam, że Wróblewski i Szewczyk wsadzili księdza do samochodu. Pojechaliśmy za miasto w kierunku Lublina. Po odjechaniu od Warszawy około 20-30 km skrę-

ciliśmy z szosy do niedużego lasu, gdzie Szewczyk i Wróblewski wyprowadzili księdza z samochodu i od razu niedaleko samochodu rozstrzelali. Póki ja zawracałem samochód, przykryli trupa Dąbrowskiego gałęziami i lekko przysypali piaskiem.¹

W tej sprawie oficerom KGB w roku 1954, a później prokuratorom ukraińskim w roku 1996 nie udało się wyjaśnić prawdę sprawców tak odrażających zbrodni. Po latach dopiero z protokołu zeznań mjr Bronisława Szymańskiego dowiadujemy się, o ostatnich godzin życia księdza „Rafała” Antoniego Dąbrowskiego, kapelana 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej.

Nazwisk, czy listę ofiar „wysłanych” do lasu dotąd nie udało się potwierdzić. Najbliżsi nie wiedzą, jak wyglądały ostatnie chwile życia aresztowanych. Czy Szymański wymienił wszystkich – tego nie ustalono. Czy wszystkie znajdujące się akta w Urzędzie Ochrony Państwa są odtajnione. Czy to jest koniec szkicu do portretu księdza Rafała?

oprac. *Tadeusz Wolak*

KOBIETY W WALCE O POLSKĘ

W dobie zrywów narodowych

Burzliwe dzieje często zmuszały Polki do stawania do walki u boku ojców, braci i mężów. Do legendy przeszła bohaterska postawa Doroty Chrzanowskiej - żony dowódcy załogi w Trembowli, której nieugięta postawa zapobiegła kapitulacji obrońców w czasie najazdu Turków w 1675 r. Polki włączyły się w działalność konfederatów barskich. Jednakże dopiero Joanna Żubrowa - sierżant 4 kompanii 2 batalionu 2 Pułku Piechoty Księstwa Warszawskiego była pierwszą Polką, która zdobyła sławę walcząc z bronią

¹ z protokołów zeznań –Biuletyn Pamięć i Sprawiedliwość Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko narodowi polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej, Warszawa 1995.

w ręku. W maju 1809 r. została odznaczona Medalem Srebrnym Orderu Virtuti Militari za udział w szturmie Zamościa.

Po utracie suwerenności przez Rzeczypospolitą kobiety stopniowo włączały się do walki o niepodległość, a z każdym zrywem narodowym więcej z nich brało do ręki broń. W powstaniu listopadowym (1830-1831) kobiety brały udział pełniąc przede wszystkim służbę samarytańską i pomocniczą. Były jednak i takie, które ukrywając się w męskich mundurach stanęły do walki z bronią. Oprócz słynnej Emilii Plater, która jako kapitan dowodziła oddziałem partyzanckim na Litwie, a później 1 kompanią 25 Pułku Piechoty, w wojsku służyły m.in. Magdalena Wojciechowska i Tekla Sobolewska. W oddziałach partyzanckich na Litwie i Wołyniu ponadto walczyły Maria Prószyńska, Maria Raszanowicz, Wilhelmina Kasprowiczówna i Antonina Tomaszewska. W bojach o Warszawę brała udział nieznana z imienia wdowa po pułkowniku - Dembińska oraz Barbara Czarnowska.

W kolejnym zrywie narodowym Powstaniu Styczniowym (1863-1864) kobiety niosły pomocy rannym oraz ukrywały powstańców. Polki zajmowały się produkcją amunicji i aprowizacją oddziałów, na nich opierała się także konspiracyjna łączność. Wiele z nich walczyło również w szeregach powstańców m.in. Lucyna Żukowska, Henryka Pustowójtówna, Jadwiga Prendowska, Maria Piotrowiczowa, Julia Prejbiszówna czy Apolonia Fiałkowska.

Na początku XX wieku Polki angażujące się w działalność patriotyczną brały udział w zakładaniu organizacji strzeleckich powstających w Małopolsce. Już w 1912 r. zaczęły tworzyć sekcje żeńskie Związku Strzeleckiego i oddziały żeńskie Drużyn Strzeleckich. Dziewczęta zostawały również aktywnymi członkiniami Związku Młodzieży Polskiej "Zet" oraz skautingu. W latach 1914-1916 istniał nawet Związek Skautek Polskich - jedyna, całkowicie odrębna i samodzielna organizacja skautowa o charakterze żeńskim. W organizacjach tych otrzymywały podstawowe wykształcenie wojskowe w zakresie sanitariatu, wywiadu i łączności.

Po wybuchu I wojny światowej i w wojnie polsko-bolszewickiej wypełniły swoją służbę wojskową, wstępując do

Legionów Polskich, Polskiej Organizacji Wojskowej i Oddziałów Lotnych Wojsk Polskich. Na kartach historii szczególnie zapisały się legionistki z Ochotniczej Legii Kobiet, które dzielnie walczyły w obronie Lwowa. Ochotniczki pełniły przede wszystkim służbę wywiadowczą, wartowniczą i kurierską. Według statutu OLK użycie oddziałów do wszelkiej służby z bronią w ręku było bezwarunkowo wzbronione, mimo to w 1919 r. oddziały tej pierwszej regularnej kobiecej organizacji wojskowej były przydzielane także do oddziałów frontowych. Pozytywne opinie o służbie lwowskich legionistek sprawiły, że w maju 1919 r. zaczęła organizować się w Wilnie 2 OLK. Ogółem w latach 1919-1921 przez szeregi formacji Wojska Polskiego przewinęło się łącznie od 3500 do 4500 kobiet.

W II Rzeczypospolitej

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości tysiące ochotniczek pomocniczych organizacji społecznych, członkiń Polskiej Organizacji Wojskowej, uczestniczek III Powstania Śląskiego oraz żołnierzy Ochotniczej Legii Kobiet zostało zdemobilizowanych, a większość organizacji zlikwidowano. Wówczas grupa byłych uczestniczek walk postanowiła przystosować służbę wojskową do warunków pracy pokojowej. W efekcie ich działań powstało Przysposobienie Wojskowe Kobiet, którego główną komendantką została por. Maria Wittekówna. PWK miało przygotować Polki do służby w formacjach ochotniczych w wypadku wojny.

Według opracowanego w 1928 r. programu, trzyletnie szkolenie wojskowe miały przechodzić dziewczęta powyżej 15 roku życia. Pierwsze dwa lata ochotniczki przechodziły kursy: nauki służby, obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, terenoznawstwa, nauki o broni, strzelectwa, łącznictwa, łączności. Trzeci rok obejmował specjalizację w jednym z działów służby pomocniczej: służbie sanitarnej, oświatowej, łączności, gospodarczej lub kancelaryjnej. Struktury PWK powstały we wszystkich większych miastach Polski, a liczba instruktorek i członkiń w 1938 r. osiągnęła stan 37147 osób.

Najważniejszym osiągnięciem ruchu PWK był zapis o prawie do pełnienia służby wojskowej przez kobiety w uchwalonej 9 kwietnia 1938 r. przez Sejm RP ustawie o powszechnym obowiązku wojskowym. Wcześniej bowiem kobiety służyły w siłach zbrojnych jako juzistki, ale na ich status był nieuregulowany. W pierwszych miesiącach 1939 roku. Ministerstwo Spraw Wojskowych w oparciu o tę ustawę zaplanowało powołanie kobiet do pomocniczej służby wojskowej: w służbie zdrowia, opiece nad żołnierzem, administracji, łączności i transporcie. Przewidywano dla nich tworzenie kobiecych etapowych formacji zbiorczych - batalionów pomocniczej służby wojskowej, pierwszego w Warszawie, a następnych we Lwowie, Wilnie, Łodzi i Kielcach. Wybuch wojny uniemożliwił realizację tych planów. We wrześniu 1939 r. zdołano tylko zorganizować liczący około 100 ochotniczek batalion w Warszawie i ponad 150-cio osobowy batalion kobiecy we Lwowie. Nie zdołano zmobilizować większości przeszkolonych do służby pomocniczej kobiet. Jedynie część personelu służby zdrowia, juzistek i telefonistek otrzymała imienne wezwania. Wspierane przez dziewczęta z Pogotowia Harcererek odegrały istotną rolę wspomagając pracę sztabów i szpitali wojskowych oraz niosąc pomoc uchodźcom. Od października 1939 r. członkinie PWK masowo zaczęły wstępować do konspiracji, w której ich przeszkolenie okazało się niezwykle przydatne.

W konspiracji 1939 - 1945

Podczas okupacji kobiety masowo zaangażowały się w działalność konspiracyjną. Wstępowały do wszystkich struktur cywilnych i wojskowych Polskiego Państwa Podziemnego. Z chwilą złożenia przysięgi stawały się żołnierzami - brały czynny udział w walkach partyzanckich, akcjach dywersyjnych i sabotażowych. Zbierały informacje dla wywiadu, pracowały jako szyfrantki, radiotelegrafistki, kolporterki prasy podziemnej, sanitariuszki, kurierki i łączniczki. Przekraczały granice i fronty przenosząc rozkazy, meldunki, radiostacje, broń, pieniądze i prasę.

Działy na wszystkich szczeblach podziemnych organizacji: w Armii Krajowej, różnych tajnych organizacjach wojskowych i

w konspiracyjnym harcerstwie, w którym powstała osobna żeńska struktura - Organizacja Harcerek. Przechowywały partyzantów, zdekonspirowanych członków podziemia i "cichociemnych". Docierały z pomocą do gett, więzień i obozów. Wykonywały również prace w tajnej służbie gospodarczej, zaopatrzeniowej i kancelaryjnej. Dla zewidencjonowania kobiet, które wstąpiły do konspiracji i skoordynowania ich prac, w marcu 1940 r. Komendant Obszaru I Związku Walki Zbrojnej, gen. Stefan Rowecki "Grot" utworzył w Komendzie Głównej ZWZ-AK Wojskową Służbę Kobiet, a szefem wyznaczył por. Marię Wittekównę. W ten sposób została podkreślona ranga wojskowej działalności dziewcząt i kobiet.

Ogromną rolę sanitariuszki, łączniczki i przewodniczki kanałowe odegrały w Powstaniu Warszawskim. Około 200 członkiń Pomocy Żołnierzowi (powstały w 1942 r. referat Biura Informacji i Propagandy) zwanych popularnie Peżetkami, prowadziło gospody frontowe dla powstańców. Wiele kobiet pracowało w kuchniach powstańczych, szwalniach, pralniach, w transporcie, w służbie wartowniczej czy przeciwpożarowej oraz w kolportażu prasy. Pracowały jako saperzy przy produkcji powstańczych granatów oraz w patrolach sapersko-minerskich. 23 października 1944 r. w rozkazie dowódcy AK podano, że: *"każda kobieta będąca żołnierzem w służbie czynnej Sił Zbrojnych w Kraju ma prawo do stopnia wojskowego jak żołnierz mężczyzna."*

Rozkaz ten był wyrazem uznania zasług kobiet walczących z okupantem. Po upadku Powstania tysiące kobiet żołnierzy poszło do niewoli na prawach jeńców wojennych.

Szacuje się, że ogólna liczba kobiet żołnierzy Armii Krajowej przekraczała 50 tysięcy, a około 15 tysięcy służyło w innych organizacjach konspiracyjnych.

Na frontach II wojny światowej

Odtworzone poza okupowanym krajem Polskie Siły Zbrojne początkowo nie miały w swych szeregach oddziałów kobiecych. Dopiero kiedy z zesłania i łagrów syberyjskich wraz z mężczyznami zaczęły napływać do obozów tworzonego w ZSRS Wojska

Polskiego kobiety, dowódca Armii Polskiej w ZSRS, gen. Władysław Anders polecił utworzenie pomocniczej kobiecej służby wojсковej. Decyzja ta uzyskała aprobatę Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego i 10 grudnia 1941 r. Pomocnicza Służba Kobiet stała się istotną częścią Armii Polskiej na Wschodzie, a później 2 Korpusu Polskiego.

Po przybyciu Polek ewakuowanych z ZSRS zaczęto formować kobiece oddziały na terenie Wielkiej Brytanii. Część z nich zasiliła także powstające w Szkocji 1 Dywizję Pancerną i 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową. Ochotniczki PSK pracowały w świetlicach, kantynach, administracji i szpitalach. W 1944 r. PSK została podzielona na służby pomocnicze poszczególnych rodzajów sił zbrojnych Pomocniczą Wojskową Służbę Kobiet, Pomocniczą Lotniczą Służbę Kobiet i Pomocniczą Morską Służbę Kobiet. Kilka z nich było zatrudnionych w brytyjskiej Pomocniczej Służbie Rozprowadzania Samolotów, zajmującej się dostawami samolotów z lotnisk fabrycznych do jednostek bojowych (m.in. córka Józefa Piłsudskiego Jadwiga). Wszystkie przeszły podstawowe przeszkolenie wojskowe, a część ukończyła nawet kursy oficerskie. Oddziały PSK z założenia nie brały bezpośredniego udziału w walkach, a ich zadanie polegało na odciążaniu jednostek liniowych. Jedynie ochotniczki z Kompanii Transportowych 2 Korpusu Polskiego w walkach o Monte Cassino zdały egzamin bojowy dostarczając ludzi, zaopatrzenie i sprzęt bezpośrednio na front. Wiele z nich zostało odznaczonych Orderem Virtuti Militari V klasy. W 1946 r., gdy rozpoczęto demobilizację Polskich Sił Zbrojnych, w szeregach PSK było ponad 6 tysięcy kobiet.

Polki służyły również w Wojsku Polskim tworzonym na terenie ZSRS. Rozkazem Zygmunta Berlinga z 3 czerwca 1943 r. został utworzony 1 Samodzielny Batalion Kobiety im. Emilii Plater, podporządkowany 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Najwyższy stan liczebny Batalion osiągnął we wrześniu 1943 r. - 740 kobiet-żołnierzy, które pełniły głównie służbę wartowniczą i sanitarną. Sławą okryła się Aniela Krzywoń, która w czasie bitwy pod Lenino ratując z płonącej ciężarówki dokumenty sztabu dywizji, uległa śmiertelnym poparzeniom. Za swój czyn została pośmiert-

nie odznaczona Orderem Virtuti Militari V klasy. Wiele innych dziewcząt skierowanych z batalionu, bądź zmobilizowanych bezpośrednio do służby w innych jednostkach frontowych Wojska Polskiego, brało bezpośredni udział w walkach o Warszawę, Wał Pomorski, Kołobrzeg i Berlin, otrzymując wysokie odznaczenia bojowe. Ogółem w szeregach 1 i 2 Armii Wojska Polskiego służyło ponad 8 tysięcy kobiet.

W Siłach Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej

W okresie powojennym tylko nieliczne kobiety pełniły zawodową służbę wojskową i dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, w wyniku poszukiwania zasobów ludzkich dla korpusu medycznego sił zbrojnych, podjęto decyzję o zatrudnieniu kobiet. Również proces przebudowy systemu obronnego państwa jak również przystąpienie Polski do struktur NATO, wymusiły konieczność innego spojrzenia na możliwości służby kobiet w Wojsku Polskim. Przełom nastąpił z chwilą powołania w listopadzie 1999 r. Rady ds. Kobiet w Siłach Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, której zadaniem miało być reprezentowanie kobiet w kontaktach krajowych i międzynarodowych oraz doradzanie kierownictwu resortu obrony narodowej w sprawach dotyczących zawodowej ich służby. Rok ten przyniósł również kobietom możliwość podejmowania nauki w szkołach wojskowych, dając im tym samym szansę uzyskania nowych stanowisk służbowych, wykraczających poza korpus medyczny.

W czerwcu 2007 r. w Siłach Zbrojnych RP służyło 991 kobiet, w tym służbę zawodową pełniły 782 kobiety, w szkołach wojskowych studiowało ich zaś 209 - co łącznie stanowi 1 procent żołnierzy zawodowych. Kobiety służą we wszystkich korpusach osobowych: oficerskim i podoficerskim. Podlegają one selekcji, odbywają szkolenia, otrzymują żołd i są awansowane na tych samych zasadach co mężczyźni. Zatrudniane są w służbach wsparcia pola walki, takich jak: logistyka, wywiad, wojska inżynieryjne. Większość jednak służy na typowo "kobiecych" stanowiskach - w administracji, działach personalnych, kwatermistrzostwie i służbach medycznych. Kobiety brały udział w misjach pokojo-

wych ONZ, pełniąc przede wszystkim funkcje pomocnicze. W 2007 r. po raz pierwszy w historii polskiej armii kobieta będzie brała udział w akcji bojowej podczas misji zagranicznej. Podporucznik Justyna Boryca z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej w Międzyrzeczu dowodzi bowiem plutonem Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie

Anna Eliza Markert

Biuletyn Informacyjny Nr 1/2007

Studium Polski Podziemnej

LONDYN

HISTORIA Z LASÓW MOSURSKICH

Edward Kołodziej, ps. "Mig" "Klon", weteran walk o wolność i niepodległość Ojczyzny, wspomina czasy II wojny światowej, kiedy walczył jako żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji AK.

Urodziłem się 20 lutego 1923r. w Dubience (powiat Hrubieszów, województwo lubelskie).

Podczas II wojny światowej byłem żołnierzem podziemia, w tym w Armii Krajowej (od lutego 1943r. do lipca 1944r.), Ludowego Wojska Polskiego (od lipca 1944r. do maja 1945r.). Będąc w strukturach podziemnych, nie brałem udziału walce z bronią w rękę. Należałem do placówki miejscowości kolonia Strzelecka. Byłem łącznikiem do przekazywania osobom zaufanym poleceń o ruchach wojsk niemieckich, oddziałów UPA i ukraińskiej policji. Nasze oddziały partyzanckie pomagały ludności polskiej przeżyć czerwone noce i dni przed rezunami, którzy mordowali ludność polską, rabowali dobytek i palili zabudowania.

W lutym 1944 r., nocą w drodze do oddziału z meldunkiem informującym o przyjeździe saperów - kompanii warszawskiej, nad rzeką Bug wpadłem w zasadzkę hitlerowców i ukraińskiej policji. Po doprowadzeniu na komendę w Dubience, przez kilka dni i no-

cy w czasie przesłuchania bito i znęcano się nade mną. Okaleczono na całym ciele.

W miejscowości kolonia Siedliszcze zostałem odbity przez kolegów z mojego oddziału AK przebranych w mundury żołnierzy armii hitlerowskiej. Nocą przeprowadzono mnie za Bug, na Wołyń do oddziału porucznika "Małego". Zdarzenie to opisano w książce pt. "Partyzancki Kraj" autorstwa Jerzego Markiewicza (str. 430).

Po wyleczeniu zostałem skierowany do kompanii "Błękitnych" por. "Motyla", batalionu kpt. "Sokoła" 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Tam otrzymałem umundurowanie i uzbrojenie wojsk niemieckich, gdyż cała kompania posiadała niemieckie sorty mundurowe. Brałem udział we wszystkich walkach jakie toczyła kompania, gdzie po stronie wroga uczestniczyło lotnictwo, czołgi, artyleria.

W kwietniu 1944 r. podczas walk i bombardowania zostałem ranny we wsi Mosur i przebywałem w szpitalu polowym w miejscowości Stawki, Stacjonował tam oddział Armii Czerwonej. Po wyleczeniu ran wróciłem do kompanii.

Okrażenie w lasach mosurskich

W czasie okrażenia oddziałów 27. Wołyńskiej Dywizji i oddziałów Armii Czerwonej w lasach mosurskich otrzymaliśmy rozkaz przebicia się nocą przez tory kolejowe obok miejscowości Jagodzin-Rymacze. Akcja trwała do chwili nadjechania pociągu pancernego, z którego oświetlono reflektorami kierunek przejścia oddziałów i otworzono ogień z broni maszynowej. Końcowa kolumna żołnierzy została cofnięta do lasu. Pozostało wielu zabitych i rannych, wśród nich i ja zostałem ranny.

Nie mogłem wycofać się w głąb lasu za innymi i pozostałem w lesie sam przez okres ponad sześciu tygodni. Ranę opatrywałem strzępami własnej koszuli. Pożywieniem była między innymi końska surowa padlina. W tym czasie oddziały niemieckie dokonywały obław za niedobitkami żołnierzy AK. Aby pozostać przy życiu kryłem się w niedostępnych bagnach. W strupach od wszy i ko-

marów, smrodu ran na ciele czekałem wyzwolenia, gdyż nocą było słychać kanonadę artylerii od wschodu.

Po nadejściu frontu w lipcu przewieziony zostałem przez Wojsko Polskie do szpitala w Chełmie. W książce Michała Fijałki pt. „27 Dywizja Piechoty AK” zostałem uznany za poległego w lasach (str. 201).

Po wyleczeniu przydzielono mnie do 56 pułku IX brygady artylerii Wojska Polskiego.

Brałem udział w walkach na froncie od Warszawy, ofensywie w operacji berlińskiej do zakończenia wojny.

Po wojnie przez okres czterech i pół lat służyłem w I Eskadrze Myśliwskiej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Później przepracowałem jako leśnik w sumie 26 lat. Pozostałe dziesięć lat byłem zatrudniony w Sędziszowskiej Fabryce Kotłów.

Obecnie mam 80 lat i jestem inwalidą wojennym w stopniu porucznika. Odznaczony zostałem sześcioma krzyżami, siedmioma medalami, dziewięcioma różnymi odznakami. Udzielałem się w pracy społecznej w Związku Żołnierzy Armii Krajowej i Związku Inwalidów Wojennych RP. Otrzymane odznaczenia dotyczą udziału w walkach na froncie i pracy w cywilu.

Za poniesione rany, ból, głód, wylaną krew podczas służby w Armii Krajowej nie zostałem doceniony. Sam dowódca dywizji gen. Jan Wojciech Kiwerski zapewniał nas okaleczonych w bojach, że Wolna Ojczyzna nas wynagrodzi. Jego prochy po 45 latach z lasów mosurskich złożono na Warszawskich Powązkach.

Dość dużo minęło lat od tamtych dni okupacji kraju, w pamięci utkwily słowa byłego dowódcy jednej z najliczniejszej i najdłużej walczącej w latach 1943-1944 wielkiej jednostki Armii Krajowej. Pomnik 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej wzniesiono w Warszawie, przy trasie Alei Armii Krajowej, upamiętniając miejsca walk i zagładę Polaków na Wołyniu.

Edward Kołodziej

ISTRIEBITIELNE BATALIONY

Akowcy wstępowali do nich nie z chęci kolaboracji, ale położenia kresu ludobójstwu dokonywanemu przez OUN-UPA

Czy można pisać o Istriebitielnych Batalionach bez przypomnienia, chociażby w skrócie, o położeniu polskiej ludności Kresów Południowo-Wschodnich II RP, od momentu wybuchu II wojny światowej? Ten obszar to olbrzymie cmentarzysko, gdzie często w miejscach nieznanach spoczywa minimum 200 tys. Polaków bestialsko zamordowanych przez członków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i jej formacje zbrojne. Pomińnięcie tak ważnego faktu i nieujawnienie sytuacji polityczno-militarnej zaistniałej w okresie, gdy te bataliony powstawały, oraz odpowiednio dobrany tytuł sprawia, że w artykule Piotra Zychowicza "Z wrogiem na wroga" ("Rzeczpospolita" 16-17 stycznia 2010 r.) jest więcej zamierzonego zamętu niż rzetelnego przedstawienia problemu i prawidłowej oceny ludzi w kontekście czasów, czasów zdziczenia absolutnego, w których przyszło im żyć. Tę starą maksymę słusznie przypomniał pan Mieczkowski, przewodniczący organizacji skupiającej weteranów owych batalionów.

Wszystko, co wcześniej działo się na ziemiach kresowych, ma ścisły związek z działalnością Istriebitielnych Batalionów, w których znaleźli się młodzi chłopcy, żołnierze AK, harcerze i starsi mężczyźni. Istriebitielne Bataliony to termin rosyjski, w tłumaczeniu na język polski nie posiada jednoznacznej nazwy, najbardziej prawidłowa byłaby Bataliony Szturmowe.

Czy autor, pisząc ten artykuł, wiedział, że w 1944 r. Związek Radziecki był członkiem Wielkiej Koalicji Antyhitlerowskiej i **naszym formalnym sprzymierzeńcem**, mimo że rządy nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych? Pełnomocnik rządu na kraj w konspiracyjnej ulotce, wydanej w końcu 1943 r. pt. "Do ludności ziem granicznych", zwracał się tymi słowami: "Wobec wkraczających wojsk sowieckich obywatele Rzeczypospolitej winni zająć godne i poprawne stanowisko, pomnąc, iż są to sprzymierzeńcy naszych wielkich Aliantów w walce z Niemcami". W tej

wojnie były tylko faszystowskie Niemcy z pomocnikami i koalicja antyhitlerowska.

Tymczasem terrorystyczno-dywersyjne organizacje ukraińskich nacjonalistów UWO i OUN od początku powstania liczyły na Niemcy, najpierw Republikę Weimarską, a od 1933 r. na Niemcy hitlerowskie. Abwehra szkoliła kadry OUN, zaopatrywała w broń i dokumenty. OUN była subsydiowana przez niemiecki wywiad wojskowy. Zbrojne formacje OUN były militarnym, politycznym i ideologicznym sprzymierzeńcem hitlerowskiej maszyny wojennej.

Sytuacja wytworzona przez OUN w czasie wojny była jasna, należało ją przedstawić. Celem OUN było zbudowanie jednoetnicznego państwa ukraińskiego, jedną z metod zbudowania takiego państwa, przewidzianą w uchwale w 1929 r., było całkowite usunięcie "cзуżыńców" z ziem ukraińskich. Miało to nastąpić w toku rewolucji narodowej - oczekiwana wojna przyniosłaby niepodległość Ukrainie.

Już we wrześniu 1939 r. bojówki OUN dokonywały napadów na cywilną ludność polską, właścicieli majątków i polskich żołnierzy powracających do domów. Legion ukraińskich nacjonalistów pod dowództwem Suszki wziął udział w agresji Niemiec na Polskę.

W agresji Niemiec na ZSRR w 1941 r. udział brały ukraińskie bataliony "Nachtigall" i "Roland". Ukraińska Republika Radziecka była po stronie koalicji antyhitlerowskiej.

Tzw. Ukraińska Powstańcza Armia powstała na Wołyniu w październiku 1942 r., jej struktury kształtowały się w 1943 r. Nie była to ani armia, ani partyzantka, nie została przyjęta do Światowej Federacji Kombatantów, faktem jest, że działała metodą partyzancką i w żelaznej dyscyplinie utrzymywała ludność ukraińską. Jej członkowie chcą uchodzić za tych, kim nie byli, są na to dowody niepodważalne, mimo to ich obrońcy **kreują ludobójców na bohaterów** i przedstawiają jako wzorzec do naśladowania.

Już w 1942 r. nacjonałiści ukraińscy podjęli realizację planu zagłady ludności polskiej Wołynia i południowego Polesia, mordując bezbronnych od starca do niemowlęcia. Niszczono zabytki

kultury łańcińskiej i palono polskie zagrody. Bojówkarze OUN-UPA byli moralnie wspierani i rozgrzeszani przez duchowieństwo Cerkwi greckokatolickiej i prawosławnej.

Sytuacja polityczno-społeczna w Małopolsce Wschodniej była nieco inna niż na Wołyniu, Małopolskę Wschodnią Niemcy włączyli do GG. Armia Krajowa na tamtym terenie miała dogodniejsze warunki do organizowania się i już w 1942 r. stanowiła znaczącą siłę w strukturach państwa podziemnego. W Reichskommissariacie Ukraine na Wołyniu sprawy konspiracji były bardziej skomplikowane z powodu terroru niemieckiego i policji ukraińskiej. W Małopolsce Wschodniej w 1943 r. oddziały OUN-Bandery nie podejmowały jeszcze masowych działań antypolskich, nastąpiło to dopiero na początku 1944 r.

W styczniu 1944 r. wojska radzieckie przekroczyły polską granicę z 1939 r. i dużym klinem zajęły Wołyń. W nowej sytuacji politycznej część sotni opuściła Wołyń. Szuchewycz, oficer byłego batalionu "Nachtigall", główny dowódca UPA, wydał rozkaz: "W związku z sukcesami bolszewików należy przyspieszyć likwidację Polaków, w pień wycinać, czysto polskie wsie palić". Fala mordów przesunęła się na Podole, gdzie koncentrowały się główne siły UPA, wspomagane przez policyjne pułki dywizji Waffen SS "Galizien", sformowane w 1943 r. na terenie dystryktu Galizien i przeszkolone do zadań pacyfikacyjnych. Należy podkreślić, że w eksterminacji polskiej ludności kresowej uczestniczyły wszystkie formacje ukraińskich nacjonalistów, łącznie z ukraińską policją pomocniczą.

W styczniu 1944 r. na Wołyniu w ramach akcji "Burza" powstała 27. Wołyńska Dywizja AK. Do marca 1944 r. broniła Polaków zgromadzonych w bazach samoobrony w zachodnich powiatach Wołynia. W kwietniu 1944 r. 27. Wołyńska Dywizja AK brała udział w walkach frontowych, wspólnie z wojskami radzieckimi w operacji kowelskiej.

W marcu 1944 r. wojska radzieckie okrążyły Tarnopol. Wkrótce ogłoszono mobilizację do Wojska Polskiego. Armia Krajowa na Podolu została rozwiązana, w owym czasie oddziały banderowskie były wzmocnione i dozbrojone przez wojskowe forma-

cje niemieckie w celu dokonywania dywersji na zapleczu frontu. Po przesunięciu się frontu na zachód ludność polska znalazła się w dramatycznej sytuacji, płonęły polskie wsie. Należało podejmować trudne decyzje, aby ratować pozostałych przy życiu Polaków.

Władze radzieckie powoływały Istriebitelne Bataliony, podporządkowane lokalnym władzom, początkowo "rejonwojenkomatom", w późniejszym okresie NKWD - odpowiednik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zadaniem IB było utrzymanie ładu, w szczególności położenie kresu ludobójstwu dokonywanemu przez OUN-UPA, SB, SKW, zarysowała się możliwość legalnego otrzymania broni i ratowania życia. W tej sytuacji dowództwo sowieckie akceptowało i zalegalizowało istnienie uzbrojonych **oddziałów polskiej samoobrony**. Dowódcy poszczególnych oddziałów AK kierowali nieletnią młodzieżą i starszych mężczyzn do IB głównie w celach obronnych. Nie było alternatywy, nie bronić się oznaczało ginąć od noża, siekiery lub w płomieniach ognia. Trzeba w ogóle nie mieć wyobraźni, aby zadać pytanie: "Co by się stało, gdybyśmy na ten układ nie poszli?"

Pan Zychowicz nie zadał sobie trudu, aby sięgnąć do dobrze udokumentowanych prac, lecz zgodnie z nośnymi aktualnie motywami politycznymi wołał powołać się na wybielaczy zbrodniczej organizacji. Czy młodzi dziennikarze nie wiedzą, że w III Rzeczypospolitej skutecznie działają kontynuatorzy ounowskiej tradycji, pozostający w orbicie współczesnego nacjonalizmu ukraińskiego, którzy przy pomocy Polaków zdołali już przekształcić bandy UPA w "partyzantkę", a nawet w "ruch narodowowyzwoleńczy"? Nikt nie zaprzecza, że Ukraińcy mieli prawo walczyć o wolną Ukrainę, ale barbarzyńskie metody przyjęte przez OUN zhańbiły ideę walki o niepodległość. Ukraiński ruch nacjonalistyczny typu faszystowskiego, który rozwinął się na terenie Galicji, a umocnił się na południowych ziemiach II RP, nie był ruchem wyzwolenicznym narodu ukraińskiego. Naród ukraiński odciął się od galicyjskich ekstremistów, obywateli polskich, dał temu wyraz w ostatnich wyborach. Ludobójstwo dokonane przez OUN-

UPA w najmniejszym stopniu nie przyczyniło się do uzyskania niepodległości Ukrainy.

Tytuł artykułu i podtytuł - pytanie, kim byli żołnierze AK i harcerze, którzy wstąpili do IB, kolaborantami czy bohaterami? - w dwuznacznej sytuacji stawia żyjących obrońców resztek polskiego żywiołu na Kresach Wschodnich. W tym zakresie nie może być niedomówień. O kolaboracji AK z partyzantką i Armią Radziecką w zeszytach historycznych paryskiej "Kultury" w nr 90. pisał T.A.Olszański, tekst drukowała "Rzeczpospolita" w nr 4. z 1991 r. pt. "Pamięć o Kresach - tak, ale jaka". Olszański powielił propagandowe twierdzenie Łebeda - zastępcy Bandery, zawarte w książce jego autorstwa. Nie zaprzecza mordom, usiłuje tylko je zminimalizować, winę za nie przerzuca na stronę polską lub bliżej nieokreślone bandy dezertersów, na NKWD i Niemców, a głównie cały problem stara się rozmyć przez uogólnienia. Olszański pisze: "Współpraca AK z partyzantką i armią sowiecką była także kolaboracją z wrogami Polski i na dużo większą skalę niż współpraca UPA z niemieckimi siłami zbrojnymi".

Łebed - organizator ludobójstwa miał prawo się bronić, ale kłamstw nie można przyjmować za prawdę. Chwyty propagandowe ukraińskich działaczy nacjonalistycznych są powszechnie znane, dziennikarz nie może się tłumaczyć niewiedzą lub nieświadomością. Gdyby pan Zychowicz zajrzał do dokumentów, a to jest przecież obowiązkiem, odróżniłby regularne formacje NKWD, umundurowane i skoszarowane, od nieregularnych, jakimi przejściowo były IB złożone z Polaków, którzy nie byli umundurowani, nie pobierali żołdu, nie składali przysięgi, przebywali w swoich miejscowościach, nie byli więc funkcjonariuszami NKWD, dzięki legalnemu posiadaniu broni uratowali życie wielu polskim rodzinom.

Żołnierze ci brali udział w walkach z ukraińskimi oddziałami ludobójczymi, wielu z nich poległo. Bronili Polaków przed torturami wymyślonymi przez samo piekło, a stosowanymi przez tzw. UPA, z tego tytułu przysługuje im prawo do czci i chwały. Problemu nie okrywa "wstydlive milczenie", jak pisze pan Zychowicz, lecz czeka on na rzetelne opracowanie przez historyków

kierujących się polską racją stanu, dotyczy on około 30 tys. ludzi kresowej samoobrony, działającej od 1944 r. do czasu ekspatriacji Polaków na Ziemię Odzyskane.

Szczepan Siekierka, prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, nie mógł powiedzieć, że Polaków wcielano do Armii Czerwonej, to wymysł autora artykułu. W tym czasie trwała mobilizacja do polskiej armii gen. Zygmunta Berlinga. Ojciec prezesa Siekierki, członkowie jego rodziny i inni Polacy w I i II Armii WP brali udział w szturmie na Berlin lub w zwycięskiej bitwie pod Budziszynem.

Odniosłam wrażenie, że autor artykułu w rozmowie z weteranami czekał na potwierdzenie, iż były to jednostki kolaborujące, taką właśnie wersję o polskich oddziałach samoobrony podtrzymują kontynuatorzy ounowskiej propagandy działający w diasporze, na Ukrainie, a także w Polsce. Od dawna wszelkimi siłami dążą do skompromitowania członków IB i żołnierzy KBW, których wojenny los, a może rozkaz po raz drugi skierował do walki z UPA, jeśli ktoś nie był w wojsku, nie rozumie tego.

Na skutek podstępnych działań wybielaczy OUN-UPA po 1989 r. tym żołnierzom odebrano uprawnienia kombatanckie. Sprawę rozpatrywał Sąd Najwyższy, na posiedzeniu jawnym w dniu 3 kwietnia 1996 r. mając na uwadze całokształt zebranej dokumentacji, podjął uchwałę przywracającą uprawnienia kombatanckie i honor żołnierza walczącego z najokrutniejszą banderowską formacją II wojny światowej. Paradoksem jest, że we własnej ojczyźnie trzeba było dochodzić praw w drodze postępowania sądowego. Należałoby zadać pytanie: jeśli pan Zychowicz wiedział o wyroku Sądu Najwyższego, dlaczego go podważa?

Żołnierze KBW, o których mowa w artykule, i inne jednostki wojskowe oraz MO po wojnie do 1947 r. broniły integralności granic państwa polskiego, mienia ludności polskiej i ukraińskiej, która w ramach umowy wyjeżdżała do USRR. Za sprawą pogrobowców OUN-UPA akcja "Wisła" została przeniesiona do sfery polityki, jest to odrębny temat. Akcja "Wisła" położyła kres ludobójstwu, przywróciła spokój, poparło ją polskie społeczeństwo, została przeprowadzona w interesie narodu i państwa polskiego.

Największe zdziwienie wzbudza konstatacja autora artykułu, który pisze, "że ludzie ci (w domyśle polscy żołnierze) broniąc rodzin, w szeregach NKWD jednocześnie przyczynili się do sowietyzacji swoich stron rodzinnych". Kto zrozumie, o co w tym zdaniu chodzi dziennikarzowi "Rzeczpospolitej"?

Monika Śladewska

CO STAŁO SIĘ Z UKRAIŃSKĄ POWSTAŃCZĄ ARMIA?

Po klęsce Niemców pod Stalingradem, armia niemiecka rozpoczęła odwrót.

Przed przesuwającym się frontem wschodnim, uciekali Niemcy, a wraz z nimi Ukraińcy. Uciekali ci, którzy byli w policji niemieckiej, w SS Galizien, a również bandy Ukraińskiej Powstańczej Armii, które miały na sumieniu ludobójstwo popełnione na ludności polskiej, udział w likwidacji Żydów, również walki z partyzantką sowiecką.

Nie zamierzam wysilać się nad ustaleniem liczby Ukraińców służących w policji niemieckiej, w SS Galizien, ani we wszystkich sotniach Ukraińskiej Powstańczej Armii, nie jestem też pewna, czy oni sami dokonali takich wyliczeń. Chcę tylko podkreślić, że wszyscy ci zbrodniarze bali się Stalina i uciekali razem z Niemcami przed frontem wschodnim. Tylko nieznaczną część banderowców zaszyła się w Bieszczadach i na innych wschodnich terenach Polski, skąd dopiero operacja "Wisła" w 1947 r. ich wypędziła.

W książce napisanej przez ukraińskiego generała Pawła Szandruka "Broń Odwagi", wydanej w Nowym Jorku w 1959 r. podano, że według statystyki niemieckiej 222.000 ludzi (Ukraińców) było w wojsku niemieckim, natomiast w Encyklopedii Powszechnej z 2003 r. wydanej w Krakowie (Wydawnictwo Ryszarda Klu-

czyńskiego) podano, że 40 tysięczna UPA "walczyła" na Kresach Wschodnich.

W tym czasie, kiedy front wschodni zbliżał się do Berlina, gdy było już jasne, że klęska trzeciej Rzeszy jest nieunikniona, w Berlinie zjawia się Pawło Szandruk. W grudniu 1944 r. na prośbę prezydenta Ukraińskiej Republiki Ludowej na emigracji Andrija Liwickiego, bierze udział w rozmowach z generałem Ernestem Kostringiem, po których to rozmowach zgodził się zostać przewodniczącym Ukraińskiego Komitetu Narodowego i Ukraińskiej Armii Narodowej. Armia Narodowa miała służyć tylko jednemu celowi. Wydobyć z różnych jednostek wojskowych i obozów pracy przymusowej jak największą ilość Ukraińców i przekazać ich Aliantom.

Pawło Szandruk, to Ukrainiec urodzony w 1889 r. na Wołyniu we wsi Borsuki. Studiował filologię jeszcze w Rosji carskiej, ukończył również Alikсандryjską Szkołę Wojskową w Moskwie.

Brał udział w pierwszej wojnie światowej, początkowo w armii rosyjskiej, a po utworzeniu Ukraińskiej Republiki Ludowej, walczył z bolszewikami. Po zawarciu tzw. Umowy Warszawskiej brygada P.Szandruka atakowała i zdobyła Kijów.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Pawło Szandruk wybrał służbę w Wojsku Polskim i rozpoczął bardzo intensywne studia wojskowe oraz pracę naukową poświęconą sprawom wojskowym. W 1938 r. w randze podpułkownika ukończył Wyższą Szkołę Wojenną.

Kampanię wrześniową rozpoczął w stopniu pułkownika dyplomowanego. W trakcie tzw. drugiej bitwy pod Tomaszowem Lubelskim, pułkownik Szandruk uratował swoją brygadę przed zniszczeniem w niemieckiej pułapce.

Po kapitulacji, jako ciężko ranny, został przez Niemców zwolniony z niewoli i zamelinował się w Skierniewicach, gdzie miał znajomości jeszcze z przed wojny.

Na wiosnę 1943 r. Niemcy proponowali mu objęcie funkcji szefa sztabu dywizji SS Galizien, ale podobno - jak sam twierdzi - odmówił. Zarzucano mu, jednak że był dowódcą dywizji SS Galizien, ale on sam nigdy do tego się nie przyznał.

Nie jest to dla nas, w tym przypadku istotne, jaka była jego działalność w czasie działań wojennych, istotne jest to, że w tym wielkim zamieszaniu w ostatnich miesiącach wojny w Niemczech znalazł się, oprócz wszystkich banderowców, odpowiedni człowiek, który za wszelką cenę chce pomóc swoim rodakom.

Pod koniec lutego 1945 r. Niemcy przyjęli warunki, jakie postawił im Pawło Szandruk i 15 marca 1945 r. sekretarz stanu Rzeszy Adolf Steengracht wręczył Szandrukowi akt uznania Ukraińskiego Komitetu Narodowego. 17 marca 1945 r. odbyło się, jedyne posiedzenie utworzonego Komitetu, który ogłosił objęcie wszystkich Ukraińców, będących w tym czasie w Niemczech, opieką prawną i powołanie Ukraińskiej Armii Narodowej, a Pawła Szandruka awansowano do stopnia generała. Komitet przekazał generałowi Szandrukowi wszystkie swoje pełnomocnictwa. Od tej chwili generał Szandruk rozpoczął wydobywanie jednostek ukraińskich spod dowództwa niemieckiego oraz ze wszystkich innych ugrupowań. Na jego rozkaz żołnierze złożyli przysięgę na wierność Ukrainie. Nałożono ukraińskie odznaki (tryzuby). Generał wycofał Ukraińską Armię Narodową na zachód i kapitulował przed Amerykanami. W kwietniu 1945 r. część tej armii skierowano na front wschodni (pod Budziszynem) do walki z armią sowiecką.

Zaraz po kapitulacji, generał Szandruk zażądał rozmowy w cztery oczy z polskim generałem Andersem. Obaj generałowie znali się dobrze jeszcze z czasów przedwojennych oraz ze wspólnej bitwy z Niemcami pod Tomaszowem Lubelskim w 1939 roku.

Po tej rozmowie generał Anders interweniował u władz brytyjskich, by umożliwić Ukraińcom legalną imigrację do Wielkiej Brytanii i krajów Imperium Brytyjskiego. Mocą osobistej decyzji premiera Wielkiej Brytanii Clementa Atlee, żołnierze ukraińscy, poprzez obozy jenieckie trafili do Wielkiej Brytanii, by następnie wyemigrować legalnie do Kanady, USA, czy Australii.

Na podstawie postanowień jałtańskich, Brytyjczycy powinni byli deportować Ukraińców do Związku Sowieckiego, ale rozmowy z gen. Andersen sprawiły, że Ukraińców potraktowano jako

obywateli polskich. Stalin wściekał się, ale nic nie mógł już zrobić.

Tak więc, dzięki generałowi Andersowi, wszyscy zbrodniarze, mający na sumieniu ludobójstwo około 200 tysięcy ludności polskiej na Kresach Wschodnich wyemigrowali na zachód, jako żołnierze Ukraińskiej Armii Narodowej i do dziś prowadzą intensywną działalność przeciwko Polsce.

Jako ciekawostkę, można tu przytoczyć, że polski Rząd na emigracji, w 1965 r., na wniosek gen.Andersa, właściwie chyba tak zwana Rada Trzech, kolegialny organ przedstawicielstwa Polski na emigracji (ambasador E.Raczyński, gen.Anders i gen.Bór-Komorowski), w uznaniu zasług generała Szandruka, jakie poniósł podczas bitwy pod Tomaszowem Lubelskim w trakcie kampanii wrześnieowej, odznaczył generała Krzyżem *Virtuti Militari*.

Na zachodzie tu i ówdzie podniosły się wtedy głosy krytykujące takie postanowienie polskich władz emigracyjnych, a w Polsce wywołało dosłownie furję. Na generale Andersie i generale Szandruku nie pozostawiono "suchej nitki". Zarzucano, że Pawło Szandruk współpracował z Niemcami i wyliczano mu jego "zasługi" dla Polski. Natomiast Grzegorz Giedroyć, który nie miał pojęcia co się działo w Polsce - na Kresach Wschodnich w czasie wojny, pisał w "Kulturze", że "są to sprawy mało znane, kontrowersyjne i zabarwione emocją. Trzeba skończyć z atmosferą, która zatrzuwa Wschodnią Europę."

Uważam, że skończyć z atmosferą zatruwającą stosunki polsko ukraińskie jest bardzo łatwo: wystarczy powiedzieć prawdę.

Anna Kownacka-Góral

UKRAJNCY WOBEC POLSKI I POLAKÓW

Dla mnie, którego dzieciństwo i młodzińcze lata upływały w codziennym, normalnym, ludzkim obcowaniu z Ukraińcami, dla mnie, którego pamięć przyjaźni z Iwanem i Serhijem brutalnie przerwanej we wrześniu 1943 roku trwa do dziś, przyjaźni zakończonej w kilka miesięcy później śmiercią obu przyjaciół z rąk tzw. UPA - czyni wciąż niezrozumiałym to, co się obecnie dzieje między Polską a Ukrainą.

Po półtorarocznym okresie partyzantki, jeszcze w roku 1945 do września stykałem się z Ukraińcami, gdy mieszkałem w Chełmie Lubelskim. W tym czasie do tego miasta przybywali z Wołynia ekspatriowani Polacy. Uciekali też Ukraińcy. Nie tylko przed sowietami, ale i o dziwo przed "swoimi" to jest przed OUN-UPA. Tu spotkałem koleżankę szkolną, córkę księdza prawosławnego. Jej ojciec, dziekan Konopianko został zamordowany przez tak zwaną UPA, gdyż odmówił poświęcenia w cerkwi narzędzi mających służyć do mordowania Lachów. Do Chełma przybywali też działacze OUN, uciekający przed sowieckim wymiarem sprawiedliwości. Miejscowi Ukraińcy, z terenów Chełmszczyzny, podający się za komunistów, wstąpili do UB i mocno dawali się we znaki ludności polskiej. Ponieważ mimo ostrzeżeń nie chcieli stać się ludźmi, nastąpił odwet polskiego podziemia w Wierchowinach. Teraz jakoś nie słychać o rozdzieraniu szat z tego powodu przez "Nasze Słowo". Natomiast szeroko się nad tym rozwodziła "Gazeta Wyborcza", starając się jak zwykle "rzeczowo" obsmarować ówczesne polskie podziemie.

Wraz z przeniesieniem się we wrześniu 1945 roku na Ziemie Odzyskane na długie lata skończyły się moje kontakty z Ukraińcami. Osłabiona dzięki OUN moja kondycja fizyczna pozwalała na zajmowanie się wyłącznie pracą zawodową. Wiadomości o pomyślnym zakończeniu operacji "Wisła" przyjąłem z ulgą, gdyż uznałem za zakończony problem bestialskiego bandytyzmu ukraińskiego. Po 1956 roku wpadło mi w ręce ukraińskie "Nasze Słowo" wydawane w Polsce. Ubawiła mnie jego treść, dla której scharakteryzowania najlepiej nadaje się obecna opinia dr Lucyny

Kulińskiej: *"Ukraińska krzywda "* jako hasło jest na swój sposób *niezniszczalne*. Z treści owego "Naszego Słowa" zapamiętałem artykuł oskarżający władze którejs z gmin olsztyńskich dysponujących trzema sztukami pługów o krzywdzenie mniejszości ukraińskiej, gdyż na kilkadziesiąt zapotrzebowań na ten deficytowy wówczas artykuł, jedno zapotrzebowanie ze strony Ukraińca nie zostało uwzględnione.

I tak trwałem w niemal niezmałym spokoju i pewności, że banderowszczyzna to przeszłość bezpowrotnie odrzucona i potępiona przez Ukraińców. Takie przeświadczenie pogłębiły moje spotkania z Ukraińcami w rodzinnej miejscowości w roku 1973, to jest w trzydzieści lat po jej opuszczeniu. Jechałem przez Brześć, Kowel, Kamień Koszyrski. Może dlatego, że rozmawiałem po ukraińsku, wszędzie spotykałem się z serdeczną życzliwością, a już ostatnie pół setki kilometrów podróży autobusem z Kamienia, odbyło się w ogólnym zainteresowaniu pasażerów moją osobą i losami Polaków, z którymi wiązały moich współpasażerów przed 1943 rokiem nici przyjaźni. Koledzy i znajomi Ukraińcy w miasteczku radośnie mnie witali, a w rozmowach wykazywali pełne zaufanie poddając druzgocącej ocenie sowiecki ustrój i jego władze. Również nie ja, oni podejmowali temat banderowskiego ludobójstwa i zdecydowanie je potępiali. Na takich przesłankach ugruntowywała się moja opinia o współczesnych Ukraińcach i trwała do czasu naszej, polskiej niepodległości po 1989 roku, kiedy byłem już na emeryturze.

Gdy wybuchła wolność okazało się, że ludzie przynależni do integralnego nacjonalizmu ukraińskiego nie tylko nie zmądrzeli, nie tylko nie stali się normalni, ale nadal wyznają doktrynę zafundowaną im przez Dmytra Doncowa. Działający od tego czasu legalnie Związek Ukraińców w Polsce od razu pokazał swe skrajnie nacjonalistyczne oblicze, a jak wiadomo nacjonalizm to nie-nawiść, a ta nie niesie ze sobą nic dobrego. I przed dwudziestu laty zaczęło się! Jak twierdził wzorcowo uczciwy Ukrainiec dr Wiktor Poliszczuk w Polsce działa około pięciu tysięcy świadomych nacjonalistów ukraińskich. Liczba ogłupionych przez nich

współbraci wierzących, iż OUN wiedzie ich ku prawdziwej, pożądanej niepodległości jest trudna do określenia.

I oto ta kilkutyśięczna garść dobrze zorganizowanych banderowców zaczęła działać w Polsce w dużym stopniu otwarcie. Jej możliwości pod każdym względem są w naszym kraju ogromne, gdyż trzeba wiedzieć, że nie są to ciemne "hryčki" z zakrwawionymi widłami w garści, analfabeci, czy półanalfabeci, podpisujący się krzyżykami, lecz ludzie wykształceni, nierzadko z tytułami naukowymi. Są organizacyjnie zdyscyplinowani i systematyczni, działają na odcinkach uznanych przez siebie za strategiczne, powiązani z prężnym ruchem ounowskim na Zachodzie. Jestem przekonany, że ich oficjalny organ prasowy "Nasze Słowo" jest przede wszystkim przeznaczony nie tyle dla nich, co dla "czerni". O zasięgu ich wpływów niech świadczy chociażby to, że władze polskie uważają ich za przedstawicieli Ukrainy, a niektóre tańczą jak im Berdychowska zagra. Niech za przykład posłuży sprawa Pawłokomy, ale też sprawa niedoszłej budowy pomnika w Stolicy ku czci ofiar banderowskiego ludobójstwa. Albo też sprawa zafałszowanego hasła w encyklopedii.

Instytut Pamięci Narodowej to najlepszy dowód wpuszczenia banderowców na teren, na którym nie powinno ich być. Píše o tym "Myśl Polska" nr 1-2/2010: *IPN udaje, że prowadzi śledztwa zbrodni dokonanych na Kresach, nie ma się temu co dziwić skoro newralgiczne stanowiska w IPN zajmuje mniejszość ukraińska. (art. Zygmunta Wrzodaka), a także: W IPN od samego początku jego istnienia wmontowana jest ukraińska (postbanderowska) jaczejka (art. Jana Engelgarda).* To tyle jeśli idzie o IPN, a nie starczyłoby miejsca na jednej stronie, by wymienić taką samą sytuację w szeregu innych dziedzin naszego życia. Z gruntu błędna a naiwna i uparta polityka wschodnia (jeśli jest to polityka) naszych władz państwowych przyczynia się do odwrotnych skutków niż zamierzone i została wykorzystana do niebezpiecznego szerzenia się banderowszczyzny nie tylko na Ukrainie ale i na terenie naszego Kraju. Gdyby była prawidłowa, oparta na prawdzie, niezakłamana, to czy byłby możliwy powrót do realizacji zasad polityki doncowskiej wszędzie gdzie tylko sięgają nacjona-

listyczne macki ukraińskie? Czy byłby możliwy jawny antypolonizm, który rozgorzał wraz z objęciem przez Juszczenkę urzędu prezydenta Ukrainy? Czyż nadanie doktoratu honoris causa przez KUL nie rozzuchwaliło tego mołojca do tego stopnia, że nadał zbrodniarzowi równemu Stalinowi czy Hitlerowi tytułu bohatera Ukrainy? Dokonując tego czynu miał pewność, że władze polskie go nie potępią. Nam, jak i każdemu innemu krajowi powinno zależeć na tym, aby w krajach sąsiednich panował pokój i spokój. Polityka zagraniczna powinna temu sprzyjać, do tego zmierzać. Tymczasem nasza pro banderowska polityka zagraniczna wobec Ukrainy prowadzi do wzmożonego skłócenia Ukraińców między sobą, do skłócenia nacjonalistycznej Ukrainy Zachodniej z resztą Ukrainy. A na tym nie powinno nam zależeć. Udział naszych polityków w pomarańczowej rewolucji w efekcie przyniósł więcej szkody niż pożytku, a właściwie same szkody.

Więszą szkodą, niż gloryfikowanie zbrodniarzy przez stawianie im pomników, nazywanie ulic i placów ich nazwiskami, nadanie Banderze tytułu Bohatera Ukrainy itd. jest przyczynianie się do ugruntowania skrajnie nacjonalistycznych poglądów i postaw wśród sporej części ludności Zachodniej Ukrainy, nie tylko wśród "czerni". Oto przykłady takiej mentalności.

1. Trafiała do mych rąk książka Josypa Hacha "Wołyń w ogniu" wydana w Stanisławowie (Iwano Frankowsku) w 2006 roku. Musiała odpowiadać upodobaniom czytelników, bo to już drugie wydanie. Czyta się ją z zainteresowaniem, ale to nie znaczy, że się podziela poglądy autora. O nim wiem tyle, co sam pisze. W czasach gdy na Wołyniu działały się straszliwe rzeczy miał 9-10 lat, a więc był w wieku, w którym widzi się już wiele. Jego rodzice to małorolni chłopcy mieszkający we wsi Władysławówka (obecnie Miżlissia) w odległości kilku czy kilkunastu kilometrów od Włodzimierza Wołyńskiego.

Już we wstępie, po podaniu zwięzłego, w miarę prawdziwego wczesnego rysu społeczno historycznego Wołynia, powtarza za nacjonalistami ukraińskimi nieprawdziwe twierdzenie, że w XX-leciu zaczęła się *"aktywna polska kolonizacja i polonizacja Wołynia"*, że *"polski honor" "rozkwitł ostem polskiego szowinizmu"*.

Ma za złe rządowi polskiemu, że osiedlił na Wołyniu rzesze osadników-Polaków, oddając im najlepsze ziemie. Nie dociera do niego i jemu podobnych to, że w XX-leciu polskie osadnictwo nie tylko na Wołyniu, ale i na całych Kresach Wschodnich miało na celu, jako jeden ze środków zaradczych, postawienie tamy płynącemu ze wschodu komunizmowi, który wówczas był bardziej niebezpieczny niż nacjonalizm ukraiński. Nie dociera, że dzięki Polsce wołyńscy Ukraińcy o dwadzieścia lat później doświadczyli sowieckich dobrodziejstw.

Autor głosi tezę, że *"faktycznie zakazany był język ukraiński"*. Czyżby wbrew takiemu zakazowi postąpił starosta powiatu Kamień Koszyrski nakazując urzędnikom nie zabraniać używania w urzędach mowy ukraińskiej?

"W nowo utworzonej administracji, w sądach, oświacie - wszędzie Polacy wypychali Ukraińców." Czyżby pan Josyp Hach nie wiedział, że w owym czasie poza popami, nie było zbyt wielu wykształconych Ukraińców? W mojej gminie był tylko jeden Ukrainiec z rosyjską maturą, a ci z wykształceniem podstawowym pojawili się dopiero przed wojną, więc nie było kogo "wypychać". Natomiast w radach gmin większość radnych stanowili Ukraińcy, bo tam wystarczył rozum. Wójtami bywali Ukraińcy. W mojej gminie, odkąd pamiętam, funkcję tę pełnili: Tereszczuk, a po nim Klimczuk. Ten ostatni był także posłem na Sejm, za co sowietci zamordowali go w 1939 roku. Ponadto: gdyby nawet byli wykształceni Ukraińcy, to władze musiałyby dobrze sprawdzić czy są lojalni. Sam autor pisze o znacznych wpływach ideologii Dmytra Doncowa. Tylko głupcy pchaliby terrorystów, czy komunistów do państwowych instytucji. Polska natomiast nie utrudniała zdobywania wykształcenia we wszystkich innych zawodach, czego najlepszym przykładem są przywódcy OUN, z których prawie każdy posiadał wyższe wykształcenie. Szkoła powszechna nie tylko była bezpłatna, ale i obowiązkowa. Tak krawiec kraje jak materii staje.

Autor rozmywa problem ukraińskiej i polskiej Schutzmannschaft traktując je jednakowo. Tymczasem powody wstąpienia, jak i później opuszczenia Niemców były całkowicie od-

mienne. Dla ledwie piśmiennych Ukraińców była to przede wszystkim nadzieja na podniesienie swego znaczenia. Dla Polaków zaś była to okazja do legalnego otrzymania broni potrzebnej do spodziewanej walki z rezunami. Trzeba pamiętać, że Polacy wstępowali do Schutzmannschaft po połowie wiosny 1943 roku, gdy tzw. UPA zdradziła już się ze swymi prawdziwymi zamiarami (np. wymordowanie Polaków we wsi Parośle, czy w osiedlu Janowa Dolina). "... *ukraińska policja pomocnicza poszła do lasu*", gdyż odpowiadało to Niemcom, wszystko jedno czy poszła w porozumieniu czy na rozkaz Niemców. Polacy zaś zdezerterowali po około dwóch czy trzech miesiącach, po otrzymaniu broni. Ukraińska policja pomocnicza stała się załączkiem zbrodniczych oddziałów bandyckich, a nie jak pisze autor - partyzanckich, natomiast ta sama polska - zasiliła rzeczywiste oddziały partyzanckie przestrzegające rycerskie zasady postępowania. Co najmniej naiwnością jest doszukiwanie się podobieństwa obu formacji zbrojnych w stosowaniu identycznych metod zaopatrzenia. A tak na marginesie: Niechby tylko spróbował któryś z Ukraińców nie dostarczyć dla tak zwanej UPA wyznaczonego kontyngentu zaopatrzenia w żywność!... A że takie kontyngenty były wyznaczone, pisze sam autor w dalszej części swej pracy.

"Można zgodzić się z tym, że terror skierowany przeciwko Polakom rozwijał się jako reakcja na dwudziestolecie polskiego reżimu na Wołyniu". To nieprawda. Nie można się zgodzić. Terror, ludobójstwo były skutkiem dwudziestu paru lat agitacji prowadzonej przez terrorystyczne organizacje UWO i OUN. Zresztą stwierdza to sam autor.

Przyznanie, że cały rok 1943 to masowa rzeź Polaków na Wołyniu z apogeum w dniu 11 lipca 1943 nie może uzasadniać wypowiedzi: *Całkiem naturalne, że strona polska nie była dłużna. W odpowiedzi Armia Krajowa przeprowadzała akcje skierowane przeciwko Ukraińcom. Obie strony przelewały niewinną krew, ...obraty zbrodniczą drogę, i dlatego nie ma usprawiedliwienia dla żadnej ze stron.* " Świadomie lub nie Josyp Hach nie mówi prawdy. Dowódca Armii Krajowej na Wołyniu wydał zakaz mordowania ukraińskich cywilów. Przywódcy OUN i tzw. UPA wy-

dali rozkaz zabijania wszystkich Polaków. Skutki tego to około 70 tysięcy zamordowanych polskich cywilów (od kołyski po niedo-
łężnych starców) w zestawieniu z iloma zabitymi przez Polaków
cywilami ukraińskimi? 500, a może 1 tys.? 70 tys. na rozkaz, 1
tys. wbrew rozkazowi. Przy tym z tego jednego tysiąca należy
odliczyć cywilów zabitych w nocy podczas ataku na tzw. UPA. In
der Nacht sind alle Katzen grau. Twierdzą też, że nie byłoby tego
tysiąca ani nawet pięciuset, gdyby nie wcześniejsze zbrodnie tzw.
UPA. Zbrodnią na prawdzie historycznej jest tak tendencyjne wy-
ciąganie wniosków z nieporównywalnych faktów. Czyżby Josyp
Hach liczył na naiwność ukraińskiego czytelnika? A może. i pol-
skiego, jeżeli wydana zostanie ta książka w języku polskim. A
moim zdaniem powinna być wydana, gdyż pokazuje mentalność
przeciętnego Ukraińca na Zachodniej Ukrainie.

Niemcy rzeczywiście czasami starali się napuszczać na siebie
Ukraińców i Polaków, ale dawali się napuścić tylko Ukraińcy.

Biorąc pod uwagę wszystko to co zostało wyżej powiedziane,
trudno zrozumieć krańcową zmianę stanowiska autora, który w
końcowych akapitach wstępu mówi o pogromie Polaków na Wo-
łyńniu, o zezwierzęceniu, o zmienieniu się zwykłych pobożnych
ludzi w okrutnych zabójców, o najbardziej haniebnym stronie histo-
rii ukraińskiej. Do tej pory wydawało mi się, że znam Ukraiń-
ców... Okazuje się, że nie wszystkich. Mentalności Josypa Hacha
nie rozumiem.

Jako ciekawostkę należy podać przedstawione zaraz na po-
czątku książki przyczyny rozłamu OUN na część melnykowską i
banderowską. Oto Stepan Bandera zakochał się w pięknej stu-
dentce, a jednocześnie działaczce OUN - Hannie Czemerynskiej,
która miała już swego chłopaka, również działacza OUN Jarosła-
wa Baranowskiego. Bandera, jak podaje Josyp Hach, mężczyzna
chuderlawy i łysawy, ale o niespożytej energii, pewny swego,
publicznie oświadczył się Hannie. Natychmiast został przez nią
odrzucony. Hanna wyszła za mąż za Jarosława. Bandera, gdy wy-
szedł z więzienia we wrześniu 1939 roku zemścił się na mężu
Czemerynskiej oskarżając go fałszywie przed Andrijem Melny-
kiem o zdradę partyjną, a gdy ten nie uwierzył, Bandera dokonał

rozłamu w OUN. Tak powstała OUN-b i OUN-m. Zwłoki Jarosława Baranowskiego znaleziono na ulicy Lwowa w maju 1943 roku. W tym czasie Bandera był co prawda profilaktycznie zatrzymany przez Niemców w obozie w Sachsenhausen, ale OUN-m do tej pory oskarża go o tę śmierć. Jest to o tyle prawdopodobne, że Niemcy nie ograniczali kontaktów Bandery z towarzyszami na wolności. To tyle jako ciekawostka.

Oczywistością jest, że Polaka zainteresuje to, jak widzi sprawy polskie ukraiński mieszkaniec Wołynia, który urodził się "za Polski", doświadczył okupacji rosyjskiej i niemieckiej, dorastał i pracował w USSR.

Opisując wrzesień 1939 roku na podstawie przeżyć swego ojca wykazuje się naiwnością przypisując ogółowi Polaków głoszenie sloganu: "Polska dla Polaków", czy nadużywanie przez nich słów hymnu "Jeszcze Polska nie zginęła". Z przekąsem mówi o "pańskiej Polsce", powiedzeniu propagandowym, zapewne bezkrytycznie przyjętym od sowietów.

Konfidentem policyjnym jest oczywiście Polak - pan Stasio, zatrudniony w knajpie żydowskiej, który podsłuchuje rozmowy nacjonalistów ukraińskich i zdaje raporty polskiemu policjantowi. Na ten temat powstała cała nowela oparta na fantazji Autora. Nie mógł on bowiem znać treści poufnych rozmów policjanta z donosicielem, ani nawet tego czy donosiciel był opłacany. Za władzy radzieckiej pan Stasio nadal donosił, a ofiarą jego donosów padł ukraiński "nacjonalistyczny patriota"(!) Sirko, skazany na kilka lat więzienia. Podkreśliłmy, że nie ma w książce ani słowa o ukraińskich donosach na Polaków, dzięki którym zapełniły się sowieckie więzienia i wzrosła liczba zesłańców na Sybir, czy na białe niedźwiedzie.

Czerwonych witali Ukraińcy z entuzjazmem, jako wyzwolicieli, tym bardziej, że biedniacy otrzymali ziemię po wywiezionych na Sybir Polakach i przesiedlonych do Rzeszy Niemcach. Jednak z biegiem czasu w miejsce zadowolenia wytwarzał się dystans i strach wobec Niemców. Subiektywnie opisuje zesłania Polaków przez sowietów określając ich mianem "zarozumiałych polskich osadników", których trudno żałować.

Natomiast w opisie wywożenia ludności na roboty do Niemiec znajduje się informacja, że pewien hultaj Polak dobrowolnie się zapisał, by w ten sposób uciec od żony Ukrainki i malutkiego dziecka.

Tłumaczem w niemieckiej żandarmerii jest oczywiście Polak Volksdeutsch (!) marzący o Polsce od morza do morza (!). Czyżby Autor nie wiedział, że jeśli Volksdeutsch to nie Polak?

Wypowiadając się o działaniach OUN zdecydowanie potępia zbrodnie dokonane przez batalion "Nachtigal" zaraz po wkroczeniu do Lwowa w końcu czerwca 1941 roku: bestialskie mordowanie Żydów, przyczynienie się do wymordowania polskich profesorów. Potępia zbrodnie popełnione na Białorusi przez połączone bataliony "Nachtigal" i "Roland" w jednostkę imienia Jewhena Konowalca wchodzącą w skład 201 batalionu niemieckiego. Potępia OUN za doprowadzenie do sformowania tych zbrodniczych jednostek. Ludzi z tych jednostek nazywa niemieckimi najmitami. Stwierdza, że większość inteligencji ukraińskiej potępiała i protestowała przeciwko zbrodniom dokonywanym na Żydach przez ukraińskie jednostki zbrojne.

Banderowski "Akt 30 czerwca 1941 roku" proklamujący powstanie niepodległej Ukrainy ocenia negatywnie, traktuje jako błędny pomysł i piętnuje za zawartą w nim wiernopoddańczość wobec Niemiec. Jednocześnie stwierdza, że "Akt" przyczynił się do aktywizacji ruchu nacjonalistycznego, do organizowania w wioskach bojówek, które z czasem przekształciły się w UPA. Zarzuca OUN-b wywołanie krwawych orgii i zbrodni, które przeżywały swym okrucieństwem zbrodnie niemieckie.

Opowiadając jak powstała UPA, zwraca uwagę na rolę, jaką odegrały ounowskie grupy marszowe posuwające się tuż za linią frontu. Pomagały one Niemcom organizować ukraińską policję pomocniczą, a jednocześnie OUN-b zwalczało przedstawicieli OUN-m, nie rzadko ich mordując. Zdaniem Autora na służbę w ukraińskiej policji pomocniczej szli przeważnie ludzie bez moralnych zasad, ci którzy szukali okazji do zemsty na osobistych wrogach, skłonni do pijaństwa, chętni do zagarnięcia cudzej własności, młodzi ludzie, którzy chcieli pochełpić się posiadaniem broni.

Policja ta potrzebna była Niemcom do wykonywania brudnej, krwawej roboty, przede wszystkim do mordowania Żydów i zwalczania bolszewickiej partyzantki. Ze szczegółami opisuje przebieg mordowania Żydów w Piatydni pod Włodzimierzem Wołyńskim w obecności zaproszonych na to "widowisko" ciekawskich gapiów.

Po prawie dwóch latach, gdy zaczęły się zdarzać przypadki odmowy przez ukraińskich policjantów mordowania Ukraińców, Niemcy rozpoczęli likwidację tej policji, a ona jednego dnia poszła do lasu. Następnie poszli do lasu ukraińscy szucmani, ale nie jednego dnia, lecz w czasie od 15.03. do 10.04.1943 roku. (Stąd moje przypuszczenie, że odejście szucmanów było na rękę Niemcom - Z.M.). W ten sposób wzrosły liczebnie oddziały UPA. Niezależnie od tego w wioskach utworzono z ochotników, a czasem i przymusowo kuszczowe oddziały samoobrony, podległe UPA. Do UPA wstępowali też sowieccy jeńcy wojenni, którzy uciekli z niemieckich obozów. Wszyscy oni, jako niepewni, zostali rozstrzelani w końcu 1943 roku. Autor także krótko stwierdza, że zamożni chłopci nie zamierzali walczyć o wolną Ukrainę, bo "urządzała ich Polska".

Wiele miejsca w książce zajmuje naświetlenie przyczyn, z powodu których OUN-UPA mordowała Polaków. Rozpoczyna od tego, że walka obrońców Ukrainy Karpackiej przyczyniła się do wzrostu antypolskich nastrojów na Ukrainie Zachodniej. W przededniu Drugiej Wojny Światowej OUN przygotowywała antypolskie powstanie. W niektórych wioskach na Wołyniu zdążono stworzyć powstańcze oddziały, które stały się załączkiem UPA. Ounowscy emisariusze nawoływali Ukraińców do walki zbrojnej, do zabijania Polaków. W każdej wsi byli tacy, którzy szli na współpracę z OUN, stawali się "inicjatywną mniejszością", która może dyktować swą wolę pięścią, siekierą, cudzą krwią. Głoszono wymordowanie Polaków, a także niewygodnych dla OUN Ukraińców. Emisariusze OUN podburzali dotychczas spokojnych Wołyniaków do zbrodni. Niektórzy prawosławni duchowni nie byli temu przeciwni. Obcy, to wszyscy nie-Ukraińcy, a obcy to wróg, którego należy zabijać. Były to programowe zasady OUN. Nie

prowadziła ona wojny z Niemcami, ani też z bolszewikami. Inicjatorami drobnych potyczek z Niemcami w początkowej fazie byli "wschodniacy", ze Wschodniej Ukrainy.

Po bitwie stalingradzkiej OUN liczyła na wzajemne wyniszczenie obu walczących stron. Dlatego postawiła na wymordowanie Polaków. Z Niemcami, OUN przyszła na Ukrainę i z nimi uciekła na zachód.

Josyp Hach w obszernym wywodzie naświetla wzajemne stosunki między Ukraińcami i Polakami. Widzi dobre i złe cechy u Polaków i dobre i złe u Ukraińców. Aby uzasadnić złe cechy Polaków mówi, że od dawna są oni grabieżcami i gnębiicielami Ukraińców. Nie podaje jednak żadnych dowodów ani przykładów, bo prawdopodobnie ich nie zna i uważa, że na takie określenie od dawna "zasłużyli" sobie Polacy z powodu pańszczyzny. Tak, jakby nie wiedział, że na Ukrainie chłop to Ukrainiec (Rusin), a pan to Polak lub spolszczony Rusin. Stosunki feudalne panowały w całej Rzeczypospolitej, obejmowały chłopów Polaków jak i Rusinów. Ustrój feudalny traktował wszystkich jednakowo, więc nie można twierdzić, jakoby Rusini (Ukraińcy) byli pod tym względem "uprzywilejowani". Dalej: Gdy po 123 latach niewoli powróciła polska władza na części terytoriów zamieszkałych w większości przez Ukraińców, to wszyscy obywatele byli traktowani jednakowo, wszyscy korzystali z jednakowych praw, ale niektórym z nich było tego za mało, więc pojawiła się Ukraińska Wojskowa Organizacja (UWO), przekształcona w 1929 roku w Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Sposób działania obu organizacji to, według obecnych kryteriów, bandy terrorystyczne. Masa sabotaży i morderstw dobitnie o tym świadczy. Najgroźniejsze jednak w skutkach okazało się podburzanie, buntowanie ludności ukraińskiej, czemu Autor nie przeczy. Nacjonałiści pociągnęli za sobą co prawda parę procent Ukraińców, ale tych parę procent, ciesząc się przychylnością wrogich Polsce państw (nie tylko Niemiec) i dysponując bronią, narzuciło swą wolę całej reszcie uczciwych i spokojnych Ukraińców, choćby takich jak rodzice J.Hacha.

Nie ma racji Josyp Hach mówiąc o krwawej nienawiści między Ukraińcami i Polakami. Była taka tylko ze strony Ukraińców i to tylko tych obałamuczonych przez OUN. Sam Autor przeczy sobie podając przykłady przyjaznego współżycia między Ukraińcami i Polakami, nawet we wzajemnym ratowaniu sobie życia.

OUN-UPA nie tylko jest winna dokonanych zbrodni, ale i tego, że "za pomocą propagandy, pogróżek, zabójstw, terroru włączyła znaczną część mało uświadomionej, zdeorientowanej ludności wiejskiej Wołynia w masowe zabójstwa, mordowanie Polaków. Winna temu jest tylko OUN-UPA". Na pytanie kiedy pojawił się zamiar wymordowania Polaków Josyp Hach odpowiada, że już w 1928 roku w UWO. Następnie "dojrzewał" w kolejnych dokumentach OUN. Realizację tego zamiaru niektórzy przypisują Mykole Łebedowi, inni R.Szuchewyczowi i D.Klaczkiwskiemu. Przewrotność nacjonalistów w określeniu kto jest odpowiedzialny za ludobójstwo uwidacznia się w wypowiedzi o.I.Hryniocha dla Niemców w marcu 1944 roku: "Odpowiedzialność za terror, który trwa do tej pory pomiędzy Ukraińcami i Polakami, grupa OUN przypisuje wyłącznie stronie polskiej".

Autor stwierdza, że ludność polska na Wołyniu była stroną broniącą się. 4.800 uzbrojonych Polaków przeciwko 15.000-20.000 uzbrojonych UPA-owców. Stwierdza też, że powód do hańby istnieje po obu stronach, bardziej po stronie ukraińskiej.

Opisując wydarzenia 11 lipca 1943 roku w rodzinnej wsi Władysławówce wymienia sposoby mordowania Polaków: przebicie widłami, zarabanie siekierą lub cios obuchem siekiery, zastrzelenie, chwycenie dziecka za nogi i uderzenie głową o futrynę drzwi, wrzucenie do płonącego budynku. Podaje, że OUN-UPA wciągnęła do mordowania niezrzeszonych chłopów, ale nie w ich własnej wsi. Mordowano Polaków i Polki nawet wówczas, gdy przeszli na prawosławie. Podaje przykład uratowania Polki przez małżeństwo ukraińskie. Opisuje też naiwnie a obrzydliwie, wymyślony akt przejścia Ukrainki na katolicyzm, w jego mniemaniu na polską wiarę. Ukrainki, która za to została zamordowana z rocznym dzieckiem.

Dla "równowagi" informuje czytelnika o "odwetowych napa-
dach Polaków", które najczęściej były wyprawami po żywność
dla polskiej ludności, która opuściła swe gospodarstwa wobec
zagrożenia życia ze strony banderowców i schroniła się w lokal-
nych centrach samoobrony takich jak: Kupiczów, Bielin, Włod-
zimierzówka, Zasmyki. Opis rozpoczyna od zamordowania 80-
letniego starca Sobczaka, (ojca członka OUN-UPA), którego pod-
rzucano bagnetami do góry, dopóki nie wyzionął ducha. Wbijaniu
bagnetów towarzyszyło zawołanie: "Niech żyje Polska". Ta nie-
smaczna fantazja świadczy o umysłowości Autora. Polacy chat
nie palili, dokonywała tego UPA, by Polacy nie mieli do czego
wracać.

O rozdwojeniu jaźni Autora świadczy to, że gdy mu wygodnie
to raz surowo ocenia OUN i UPA, a innym razem do znudzenia
nazywa członków tej organizacji patriotami i powstańcami.

Książka byłaby interesująca, gdyby nie tendencyjność i mnó-
stwo zawartych w niej sprzeczności.

Na stronie 169 książki "Wiele twarzy Ukrainy" wydanej w ro-
ku 2005 w wywiadzie Piotra Tymy z prof. Iroidą Wynnycką czy-
tamy:

"W Polsce, zwłaszcza w środowiskach kresowych, ogromną
popularnością cieszy się inny emigrant z Polski Wiktor Polisz-
czuk. Jak jest on postrzegany przez środowiska ukraińskie w Ka-
nadzie?

Znałam Poliszczuka, nawet niektóre dokumenty z Centrum
dawałam mu do tłumaczenia. Większość z nas, tu, w Kanadzie,
nie wiedziała, że ten człowiek ma takie poglądy, umiejętnie je
bowiem ukrywał. Pojawienie się jego książek było dla wszystkich
wielkim szokiem. Wiem, że pracował w gazecie "Nowyj Szlach".
Nic więcej nie potrafię o nim powiedzieć. Wszyscy tutaj byli nim
oburzeni, bo wielu ludzi znało go i bezinteresownie mu pomagało,
gdy przyjechał do Kanady i prosił o pomoc. Przyjechał w latach
80. i zwracał się o pomoc głównie do naszych ludzi. Ludzie dawa-
li mu zarobić, pomagali tutaj ... żyć. Dla nas jest zagadką, kim
właściwie był w przeszłości, co robił i dlaczego emanuje taką nie-

nawiścią w stosunku do Ukraińców i przede wszystkim do UPA." Z treści wypowiedzi można domniemywać, że pani Profesor nie czytała żadnej z prac Wiktora Poliszczuka, a każda z nich to dociekanie prawdy. Gołosłowne oskarżenia to cecha ounowców.

Miesięcznik "Więź" w październiku 2009 roku udostępnił łamy swojego pisma integralnym nacjonalistom ukraińskim w celu odbycia "dialogu" ukraińsko-polskiego. Wziął w nim udział Mirosław Marynowicz, prorektor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie. Stwierdza on, że znikło dotychczasowe zauroczenie sobą Polski i Ukrainy, a na plan pierwszy wybiło się kilka ważnych problemów: zmęczenie niestabilnością i niezdecydowaniem ukraińskich polityków, historyczna polityka obu państw a także próba budowania pojednania drogą poniżenia sąsiada.

Marynowicz twierdzi, że rozumie ból Polaków kresowych zadany przez Ukraińców. Ból pogłębiony nakazem wieloletniego milczenia, które wywołało bunt milczących ludzi, gdy nie pozwolono im opowiadać o swojej tragedii, co w efekcie pchnęło ich w ręce manipulatorów. "Dlatego my, Ukraińcy - mówi Marynowicz - mamy moralne prawo budzić sumienie świata odnośnie do swoich narodowych tragedii tylko wtedy, gdy w skrusze pochylimy się przed polskim bólem wywołanym winą Ukraińców za krwawą i zbrodniczą czystkę etniczną na Wołyniu." Jest więc postęp: Ukrainiec ze Lwowa mówi o krwawej i zbrodniczej czystce etnicznej, o skrusze, co jeszcze jakiś czas temu było nie do pomyślenia. Mimo to takiemu "manipulatorowi" jak ja rzucają się w oczy nieścisłości. Zbrodni bowiem nie dokonali Ukraińcy, lecz OUN-owcy. Ja, Polak nie odważyłbym się oskarżać o to Ukraińców. Zbrodnia ta to nie czystka etniczna, lecz ludobójstwo. Zbrodni tej dokonywała OUN nie tylko na Wołyniu, lecz także na Polesiu, w województwie tarnopolskim, lwowskim, stanisławowskim, lubelskim, rzeszowskim. Ponadto kresowi Polacy nie tylko chcieli i chcą opowiedzieć o swej tragedii i bólu, ale też chcą chociażby umożliwienia im postawienia krzyża na grobie, jeśli istnieje, czy tablicy pamiątkowej lub pomnika i nie chcą, żeby na Ukrainie byli czczeni pomnikami czy nazwami ulic OUN-owscy

zbrodniarze, w imię prawdziwego pojednania, które z powodu postawy OUN jest z nimi niemożliwe.

Toteż kuriozalne jest twierdzenie Marynowicza, że Polacy nie chcą zrozumieć wagi problemu UPA dla dzisiejszej Ukrainy i że "w żaden sposób polskim ani ukraińskim publicystom nie uda się przekonać Polaków, że my szanujemy UPA naprawdę nie za czystkę etniczną na Wołyniu, lecz za opór wobec hitlerowców, a szczególnie wobec reżimu sowieckiego. Gdyby nie było UPA, to dla mnie dawnego dysydenta nie byłoby ani patriotycznego wzorca, ani otuchy dla mego własnego oparcia. Wyrzucić to z historycznej pamięci Ukraińców, przynajmniej w Galicji, jest niemożliwe - nawet pod groźbą pogorszenia stosunków z Polską." No, tośmy się zrozumieli! Wiemy co i jak myśli sowiecki dysydent, galicyjski Ukrainiec, gdzie szuka oparcia dla swego nacjonalizmu. Polscy rozmówcy prowadzący dialog z OUN-owcami w pokazanym cytacie mają wyraźne i mocne stwierdzenie, że się z takimi ludźmi jak Marynowicz nie dogadają, chyba że stoją na podobnym poziomie intelektualnym i uznają za usprawiedliwione wyłuszczone poglądy. Tylko taki człowiek zdający sobie sprawę z czym ma do czynienia, znający pełną prawdę, jest zdolny straszliwie przestępczą organizację, winną mordowania także swoich, zaliczyć w poczet bohaterów swego narodu. W jakich kategoriach mieści się taka mentalność, która woli uznawać za swoich bohaterów narodowych zbrodniarzy, ludobójców, niż nie posiadać ich wcale?

A te walki UPA z Niemcami można nazwać podszcypywaniem, którym Niemcy zbytnio się nie przejmowali. Jeśli dochodziło do nich z inicjatywy Niemców, to tylko przez pomyłkę. Natomiast walki z sowietami były zapewne desperacką głupotą OUN. Dlaczego nie pomyślał ilu Ukraińców w ich wyniku znalazło się w łagrach?

Wreszcie, pan Marynowicz powinien przyjąć do wiadomości, że my nie czekamy na prośbę o przebaczenie, nam ona nie jest potrzebna. My nie możemy się tylko doczekać uznania przez Ukrainę Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów za przestępczą, a wymordowania bezbronnych ludzi za ludobójstwo i w konse-

kwencji doczekać się właściwego postępowania. Nie byłoby wówczas pomników Bandery.

Przedstawione trzy opisy chyba dostatecznie ukazują mentalność ukraińskiego inteligenta na Ukrainie Zachodniej.

Zbigniew Matyszczyci

LWÓW NIE ODDAŁ POLAKOM ŚWIĄTYNI

Polacy protestowali i głodowali, żeby kościół Marii Magdaleny we Lwowie wrócił do wiernych. Ale przegrali.

W niedzielę 7 marca br. we Lwowie odbyła się droga krzyżowa. Uczestniczyło w niej około 10 tys. osób. Byli wśród nich przedstawiciele władz miejskich, w tym radni miasta Lwowa, przedstawiciele administracji obwodowej, rektorzy uczelni, inteligencja. Wszyscy podążali za wielkim krzyżem. Zaledwie cztery dni później, 11 marca na posiedzeniu rady miejskiej ci sami państwo - radni Lwowa - uchwalili, że kościół św. Marii Magdaleny nie zostanie zwrócony wiernym, a przez najbliższe 20 lat w dalszym ciągu będzie funkcjonował jako sala muzyki organowej.

We Lwowie przed wojną były 54 chrześcijańskie świątynie, z czego 36 należało do obrządku rzymskokatolickiego. Po II wojnie i wysiedleniu Polaków za czasów sowieckich były czynne trzy, a potem tylko dwie świątynie katolickie: katedra pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, kościół pw. św. Antoniego na Łyczakowie oraz do 1962 r. kościół pw. Marii Magdaleny. Do tych świątyń uczęszczali zarówno Polacy, jak i Ukraińcy, gdyż ci drudzy, będący grekokatolikami, zostali pozbawieni możliwości praktykowania religii w swoim obrządku (w 1946 r. Cerkiew grekokatolicka została rozwiązana na tzw. fałszywym soborze). Kościół grekokatolicki działał wówczas w ukryciu i był prześladowany. Wierni tego obrządku korzystali więc z jedynej możliwości spełniania obrzędów religijnych w Kościele rzymskokatolickim, który

także był prześladowany ale prowadził posługę duszpasterską jawnie i w konspiracji. Stan ten trwał przez 45 lat.

Jeśliby zajrzeć dokładnie w metryki chrztów mieszkańców Lwowa z lat powojennych, większości z nich sakramentu tego udzielano we lwowskiej katedrze lub dwóch pozostałych kościołach.

W 1991 r. rozpadł się ZSSR i Ukraina otrzymała niepodległość. Jako młode demokratyczne państwo zaczęła zwracać świątynie odradzającym się wspólnotom religijnym. We Lwowie zdecydowana większość przedwojennych kościołów rzymskokatolickich została przekazana wspólnotom greckokatolickim, ale także prawosławnym i protestanckim. O zwrot tych świątyń, na miarę swoich potrzeb, występowały także wspólnoty rzymskokatolickie. Garstka Polaków, których nie wysiedlono, starała się między innymi o odzyskanie kościołów : pw.św.Elżbiety, pw.Matki Bożej Gromnicznej, kościoła Dominikanów i pw.św.Marii Magdaleny (do chwili obecnej Polakom nie zwrócono żadnej świątyni). Ta ostatnia świątynia od 1962 r. funkcjonowała jako klub studencki, a potem jako sala muzyki organowej.

Starania o odzyskanie kościoła Marii Magdaleny wspólnota rzymskokatolicka rozpoczęła już w 1991 r. W 2001 r. pozwolono w nim odprawiać 52 msze w roku, ale odpłatnie. Wierni musieli płacić za prąd i sprzątanie. Była to suma około 150 dol. za jedno nabożeństwo! Mimo trudnych warunków i konieczności ponoszenia opłat parafia św. Marii Magdaleny zaczyna się jednak szybko odradzać. Na mszę przychodzi coraz więcej wiernych. Na Wielkanoc i Boże Ciało po okolicznych ulicach odbywają się procesje dookoła świątyni. Uczestniczą w nich kilkusetosobowe tłumy wiernych.

W trakcie dalszych pertraktacji z przedstawicielami władz samorządowych Lwowa uzyskano pewien postęp. Ustalono, że parafianie będą mogli sami sprzątać kościół i w związku z tym zostaną zwolnieni z części opłat. Uzyskali też zgodę na odprawianie jednej mszy dziennie.

Polacy we Lwowie nie odeszli od wiary, czekali na gest lokalnych władz, te jednak nie zgodziły się na zwrot kościoła.

Nadzieje na zwrot upragnionej świątyni odżyły w naszych rodakach po pomarańczowej rewolucji w 2005 r. Prezydentem Ukrainy został wówczas Wiktor Juszczenko, którego wybór na to stanowisko bardzo mocno wsparło polskie społeczeństwo. Był to też czas nadziei na nową demokratyczną Ukrainę. Jednym z pierwszych aktów prawnych Juszczenki było rozporządzenie, które wprowadzało w życie dekret prezydenta Leonida Kuczmy z 21 marca 2002 r., „O natychmiastowych działaniach dotyczących ostatecznego rozwiązania negatywnych skutków polityki totalitarnej byłego ZSRR dotyczącej religii, jak również przywrócenie odebranych praw kościołom i organizacjom religijnym”.

Kościół Marii Magdaleny nie został jednak zwrócony wiernym, za to zawisły w nim portrety S. Bandery i T. Szewczenki. Okazją do pojawienia się ich były prelekcje i wykłady organizowane z powodu okolicznościowych rocznic.

W kościele w tym czasie były głoszone kazania o Herodzie.

Wspólnota religijna pomimo nieustannych szykan ze strony administracji budynku i lokalnych władz nie rozpadła się, a chyba nawet wbrew oczekiwaniom stale się powiększa (oficjalny spis parafian przeprowadzony w 2006 r. zawierał 870 członków).

Dyrektor sali muzyki organowej Julian Winnicki przed jednym z koncertów zostawił kościelnemu kartkę w języku polskim o treści: „3-4 czerwca koncert na ołtarzu, proszę zabrać wasze maneli”. Ulubionym argumentem w dyskusjach tegoż dyrektora są słowa: „To nasza ziemia i my możemy robić tu, co chcemy, a jak się wam nie podoba, to wyjeżdżajcie sobie do Polski”.

Nikt nie wie, czy kolejny prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz okaże się bardziej czuły na potrzeby Polaków w tym kraju.

W 2007 r. administracja sali organowej uniemożliwiła wiernym przeprowadzenie rekolekcji wielkopostnych. Dwie parafianki w proteście przeciwko powtarzającym się szykanom rozpoczęły strajk głodowy. Wydarzenia te były relacjonowane przez polskie i

ukraińskie media. Po siedmiu dniach do głodujących zaczęły się przyłączać inni parafianie. Tylko dzięki interwencji i determinacji konsula RP we Lwowie i arcybiskupa lwowskiego udało się uniknąć dalszej eskalacji napięcia. Władze lwowskie, jak za każdym razem od 19 lat, obiecały rozwiązać problem - dały słowo. Ale jak widać, na Ukrainie funkcjonuje często powtarzana zasada: ja chaziajn swojego słowa (jestem panem swojego słowa), tyle tylko, że oznacza to ni mniej, ni więcej, że: mogę je dać, ale mogę je też zabrać, kiedy chcę.

Nie trzeba dodawać, że po ostatniej decyzji rady miejskiej Lwowa (następne 20 lat wygnania) wierni parafii św. Marii Magdaleny są zdruzgotani. Wiedzą, że drzwi wejściowe do świątyni są dla nich zamurowane (w tej chwili wszyscy wchodzą do kościoła drzwiami bocznymi od zakrystii). Trudno im się też dziwić, że zaczynają tęsknić do czasów, które były koszmarem i które z radością żegnali. Dziś mówią, że wtedy przynajmniej wszystko było proste. - Człowiek wiedział, co może, a czego nie. Nikt nad nami się nie pastwił. A dziś jesteśmy traktowani jak wyrzut sumienia. Oni (Ukraińcy) myślą, że jak nam oddadzą kościół Marii Magdaleny, to Lwów przestanie być ukraiński, bo to byłby dowód, że to wraca do Polski - mówi Stanisław. O pomocy z Polski nie chcą słyszeć. - Tyle razy się zwracaliśmy do „wszystkich świętych” w Polsce, wiele razy do samego prezydenta. Czy kiedykolwiek on choćby odpisał? On się tylko z Juszczenką obejmował. Ja w stronę Polski i patrzeć nie chcę - mówi Halina. Gorzkie to słowa, ale czy możemy się im dziwić?

Jakie są więc naprawdę stosunki między Polską a Ukrainą? Czy złożenie tamtejszych Polaków na ołtarzu dobrosąsiedzkich stosunków przyniesie Polsce jakkolwiek korzyść (Ukrainie chyba też nie)? Czy nie czas już, aby i od naszego strategicznego partnera (tak, tak, te słowa były często używane, nie wstydzmy się ich) zacząć wymagać przestrzegania podstawowych standardów demokracji? Jeśli tego nie zrobimy, to nasz obecny czy ten przyszły prezydent nie będą mieli w ogóle okazji jeździć za wschodnią granicę. I co wtedy z naszym partnerstwem?

Dziś po raz pierwszy - jako prezydent - przyjeżdża do Lwowa Wiktor Janukowycz. Czy ta decyzja jest „upominkiem” rady miejskiej dla głowy państwa? Trudno nie przewidzieć, że Polacy po raz kolejny z tą sprawą zwrócą się do kolejnego już prezydenta Ukrainy. Tylko czy tym razem to coś zmieni?

Maciej Krasuski

ZAWRACANIE DNEPRU KIJEM

Po szaleństwach, będących rezultatem tzw. pomarańczowej rewolucji, na której najwięcej straciła Ukraina, przed krajem tym otworzyły się perspektywy mozolnego wychodzenia na prostą, gdy prezydentem tego kraju został Wiktor Janukowycz. Co charakterystyczne, już w pierwszych dniach nowych władz sądy ukraińskie cofnęły tytuł Bohatera Ukrainy Stefanowi Banderze i Kłymowi Sawurowi, których to nazwiska krwawo zapisały się na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej, a co stanowiło policzek wymierzony Polsce i pohańbienie zamordowanych przez OUN-UPA Polaków.

Prócz tego w Kijowie została zorganizowana wystawa obrazująca zbrodnie UPA na ludności polskiej i żydowskiej. Jak się okazuje, z tego stanu rzeczy są niezadowoleni nie tylko pogrobowcy Bandery, ale również niektórzy polscy „intelektuele”.

Do nich zalicza się m.in. Jerzy Pomianowski (Birnbbaum) – pisarz, publicysta i scenarzysta, który opuścił Polskę w 1968 r., a wrócił w 1994 r. Wydaje on miesięcznik „Nowąją Polska” skierowany do inteligencji rosyjskiej. Podczas pobytu zagranicą współpracował m.in. z Jerzym Giedroyciem i jego paryską „Kulturą”.

Na temat sytuacji na Ukrainie, stosunków ukraińsko-polskich i ukraińsko-rosyjskich udzielił on wywiadu „Rzeczypospolitej” (z 24.04.2010 r.), z którego dowiadujemy się rzeczy zdumiewających. Pomianowski mówi: „Te trzy procent, o które wyborców Janukowycza było więcej niż wyborców prozachodniej pani Tymoszenko, to byli ludzie, którzy dowiedzieli się o kampanii

szczucia przeciwko ukraińskim narodowcom. Od rocznicy rzezi wołyńskiej w 2003 r. prowadzą ją nasi rodzimi szowiniści”.

Mniejsza o to na jakiej podstawie Pomianowski twierdzi, że owe trzy procent, kierowało się właśnie tymi a nie innymi motywami. O wiele ważniejsze jest to, że wydawca „Nowoj Polszi” przechrzczył resztki morderców z OUN-UPA i ich pogrobowców na „ukraińskich narodowców”. Tak jakby nie wiedział, że bandy UPA, Służby Bezpeky i SS-Galizien w sposób bestialski wymordowały co ok. 200 tys. Polaków oraz dziesiątki tysięcy obywateli polskich innych narodowości, w tym Ukraińców, którzy nie chcieli z nimi współpracować w wyrzynaniu polskich sąsiadów. To dla niego „narodowcy”. Ci natomiast, którzy walczą o prawdę o tym ludobójstwie, to dla Pomianowskiego „nasi rodzimi szowiniści”. Odnosi się to do Polaków, którzy dokonują badań naukowych nad ludobójstwem banderowskim dokonanym na Kresach Wschodnich; tych, którzy zwalczają kłamstwa i oszczerstwa współczesnych ukraińskich szowinistów; setek tysięcy Kresowian, którzy przeżyli hekatombę lat 40. i ich potomków. Trzeba albo wyjątkowej niewiedzy historycznej (o co trudno posądzić Pomianowskiego), albo wyjątkowo zacieklego banderofilstwa. To nie kampania szczucia, ale walka o prawdę historyczną, do fałszerzy której Pomianowski się przyłącza.

Ludziom tym, z reguły pracującym społecznie Pomianowski zarzuca, że „kampania ta podcinała nogi prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu i jego proukraińskiej polityce. A to właśnie jego zwolennicy w prasie i telewizji byli zwolennikami akcji godzącej w polski interes narodowy”. Voila! Polski interes narodowy ma więc – według Pomianowskiego – polegać na przemilczaniu zbrodni trzeciego ludobójstwa (obok niemieckiego i sowieckiego) dokonanego na Polakach. Na przemilczaniu faktu stawiania pomników mordercom Polaków, takim jak Stefan Bandera czy Kłym Sawur.

Na tym, że na Ukrainie w okresie rządów prezydenta Wiktora Juszczenki i premier Tymoszenki publikowano mapy, na której granice Ukrainy sięgają po Krynicę. Na tym, że mniejszość ukraińska cieszy się w Polsce wyjątkowymi przywilejami, o jakich nie

mogą marzyć Polacy mieszkający na Ukrainie. Natomiast finansowane przez polskiego podatnika ukraińskojęzyczne „Nasze Słowo” zieje nienawiścią do Polski i Polaków i wysławia zbirów z UPA.

A jeśli chodzi o śp. Lecha Kaczyńskiego, to – nie wdając się w analizę jego polityki ukraińskiej – warto przypomnieć, że wydał on oświadczenie krytykujące nadanie tytułów bohatera Ukrainy Banderze i Sawurowi. W sumie mamy tu do czynienia z mieszaniem półprawd i perfidnych kłamstw.

Zbigniew Lipiński

DO POLSKICH WŁADZ

We Lwowie, na cokole stoi olbrzymi pomnik Stepana Bandery – Bohatera Ukrainy. Były **Prezydent Ukrainy Juszczenko zadecydował, że zbrodnie** popełnione przez banderowską Ukraińską Powstańczą Armię, **nie były zbrodniami, lecz bohaterstwem**. Palenie żywcem kobiet, dzieci i starców, rąbanie ludzi na kawałki, wrzucanie do studni, znęcanie się nad bezbronnymi - to było „bohaterstwo. To była walka o wolną Ukrainę?”

Juszczenko Prezydent Ukrainy, już dawno zabrał się energicznie do „prostowania” haniebnej historii OUN UPA. Jeszcze na uroczystości 60-tej rocznicy operacji „Wisła” w Pałacu Prezydenckim w Warszawie (w 2007 r.), powiedział między innymi: „uwierzcie, że jestem człowiekiem silnym, twardym i stanowczym i Ukraina w niedługim czasie wyjdzie z honorem”. Mówiąc to, być może miał na myśli realizację dekretu Prezydenta Ukrainy Nr 879 z 2006 r., w którym nakazał opracowanie i wyjaśnienie działalności U.P.A.

Dekret ten, nakazywał wszystkim historykom, politykom i mediom, opracowanie historii ukraińskiego ruchu wyzwolenczego.

Zadanie zostało wykonane, zbrodni nie było, a najważniejsi „bohaterowie” mają już swoje pomniki i ulice nazwane ich imieniem.

Nie wszyscy Ukraińcy to akceptują. Ludzie mądrzy, uczciwi, nie nacjonalisci, którzy znają „bohaterskie” czyny OUN UPA, protestują przeciwko gloryfikowaniu zbrodniarzy. Przykładem tego może być list otwarty do Prezydenta Ukrainy zamieszczony w gazecie ukraińskiej „Towarzysz”, wydawanej w Łucku, który napisał Ukrainiec Rostysław Czapiuk - przewodniczący Wołyńskiej Wojewódzkiej Organizacji Społecznej „Ochrona dzieci wojny”¹.

W liście tym, już na wstępie, autor pisze, że jest koniecznością znać całą prawdę o banderowskiej OUN UPA, która likwidowała m.in. swoich politycznych oponentów z melnikowskiej OUN. **Przypisywanie tym formacjom stanowisko i pozycję bohaterów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami nie odpowiada prawdzie historycznej i jest świętokradztwem.** W liście tym, autor dość szczegółowo wylicza "zasługi" banderowskiej OUN UPA: "O Stepanie Banderza i banderowcach na Wołyniu będą ludzie pamiętali wiecznie, ile tam było ofiar okrutnego, banderowskiego terroru, więcej niż hitlerowskiego i stalinowskiego razem wziętych".

O zaliczenie banderowców w poczet kombatantów wojny ojczyźnianej, Juszczenko Prezydent Ukrainy ubiegał się już od dawna. Wywołało to, natychmiastową, ostrą reakcję Moskwy, szczególnie negatywnie oceniono kroki, które zmierzyły do uczynienia bohaterów z członków UPA.

Profesorowie z Ukrainy, biorący udział w konferencji nauko-historycznej w maju 2008 r. w Warszawie, pytali nas, dlaczego władze Polski milczą, gdy na Ukrainie odradza się faszyzm i to, w bardzo szybkim tempie.

Władze Polski nie reagowały i nie reagują w tej sprawie, mówiono, że to co dzieje się na Ukrainie, to wyłącznie ich sprawa. **Katolicki Uniwersytet Lubelski posunął się jeszcze dalej: zhańbił**

¹ publikowany w Biuletynie Informacyjnym Nr2(102) czerwiec 2009

się przyznając Prezydentowi Ukrainy Juszczenko honorowy doktorat.

Organizacje kresowe, wielokrotnie zwracały się do polskich władz o zajęcie stanowiska w sprawie uznania zbrodni dokonanej na ludności Kresów Południowo-Wschodnich i Wołynia za ludobójstwo, niestety bez rezultatu. Żadną uroczystość związaną z obchodami 65 rocznicy tych wydarzeń w 2008 r. nie zaszczycił swoją obecnością ani Prezydent RP, ani Marszałek Sejmu. Natomiast z uczestnictwem na rocznicy wielkiego głodu, na Ukrainie, nie było problemu, dla Polskich władz, ani na festiwalu Kultury Ukraińskiej w Sopocie.

Dopiero, rok później, bo w lipcu 2009 r. zdecydowano się przegłosować w Sejmie uchwałę składającą hołd pomordowanym rodakom na Wołyniu (nie tylko na Wołyniu), natomiast, przygotowanej uchwały uznającej zbrodnię za ludobójstwo, a jej sprawców za zbrodniarzy, nie rozpatrywano w Sejmie.

Tymczasem, w Polsce dzieje się coś niepokojącego, ukraińscy, skrajni nacjonałiści, już w świetle jupiterów, legalnie na swojej stronie internetowej, **grożą śmiercią** księdzu Tadeuszowi Isakowiczowi Zaleskiemu, bo odważył się powiedzieć prawdę o zbrodniach OUN UPA.

Systematycznie nasilające się oskarżenia Polaków i Polski o nie popełnione czyny, depreczując honor i godność Narodu Polskiego, szkalują nas w naszym kraju i na arenie międzynarodowej.

W wydawanym w Polsce czasopiśmie "Nasze Słowo" (dotowane z budżetu RP) piszą artykuły nie tylko szkalujące Polaków i siejące nienawiść między naszymi narodami, ale nawet prowadzą działalność niezgodną z art.13 Konstytucji RP, który zabrania tworzenia faszystowskich organizacji na terenie Kraju.

Ponadto **nie zaprzestano wnoszenia** przez środowiska ukraińskie w Polsce, **pomników poświęconych ludobójcom** spod znaku OUN UPA. Czy tej hańbie lokalne i centralne władze Polski, nie potrafią się kategorycznie przeciwstawić?

Obserwując to wszystko, można zauważyć jak skutecznie wprowadzają w życie uchwały Krajowego Prowodu OUN z dnia 22.06.1990 r. które nakazują m.in.: - narzucić Polakom nasz punkt

widzenia na historię i stosunki polsko-ukraińskie; - eliminować wszelkie polskie próby zmierzające do potępienia UPA; - stanowczo rozprawiać się z antyukraińskimi poglądami na historię działalności UPA; - przeszkadzać w zbieraniu materiałów obciążających Ukraińców z wydarzeń drugiej wojny światowej; - odbudować tajną Sieć OUN i zacząć kontrolować wszystkie dziedziny życia Rzeczypospolitej.

Propagując, także wykonując powyższe założenia, odważnie działają na Ukrainie i w Polsce. Świadczą o tym wydawane książki, w których są kłamstwa zamierzone. Opisują fakty, których nigdy nie było. Przykładem może być m.in. książka wydana przez Ukraińskie Archiwum w Warszawie p.t. „Bohunowa potrójna droga”, napisania przez Romana Bajlaka, jak również książka Ihora Iluszyna pt. „UPA i AK konflikt w zachodniej Ukrainie”.

W dniu 28 października 2009 r. zorganizowali we Lwowie, już drugi Okrągły stół – „Huta Pieniacka - Prawda i Domniemanie”, na którym stawiają w wątpliwość rozmiary tragedii w tej wsi: „**Niemcy zabili około 100 osób**, a resztę Polaków mieli wywieźć ze wsi do Niemiec na roboty”.

Ponadto stawiają w wątpliwość czy pomniki w Hucie Pieniackiej oraz w innych wsiach zachodniej Ukrainy są postawione legalnie, „w przypadku niedostatecznego potwierdzenia zabójstwa (w Hucie, czy w innych wsiach), **wzniesione pomniki należy zlikwidować**”.

To są tylko niektóre przykłady postaw nacjonalistów ukraińskich, którzy ośmieleni działaniami Prezydenta Ukrainy, starają się pokazać swoje zamierzenia.

Co jeszcze musi się wydarzyć, aby władze Polski obudziły się? Czy naprawdę niczego nie nauczyła nas nasza bierność i strusia polityka prowadzona przez pół wieku? Czy znajdzie się ktoś i odważnie powie: **STOP Panowie - dalej nie wolno!** Co się stało z dumnym narodem zawsze gotowym do walki o honor i Ojczyznę?

Czy to, że osoba sprawująca najwyższy urząd na Ukrainie, mocą wydawanych aktów prawnych podnosi do rangi bohaterów narodowych dwóch najbardziej odpowiedzialnych za gehennę, męczeństwo i zagładę Polaków na Kresach Wschodnich, bez-

względnych zbrodniarzy (Romana Szuchewycza w 2007 r. i Stepana Bandere w 2010 r.), a zbrodnicze formacje OUN UPA uznaje za uczestników walki o niepodległość Ukrainy, czy to, nie zmusza nasze władze do zdecydowanego działania? Kilka słów krytyki wypowiedzianej w telewizji przez Prezydenta RP, to za mało!

Domagamy się natychmiastowej reakcji adekwatnej do skali zagrożenia - ze strony władz Polski. Oczekujemy, że Sejm podejmie uchwałę w której potępi ostatnie decyzje byłego już Prezydenta Ukrainy Juszczenki, a zbrodnie popełnione przez OUN UPA na ludności polskiej uzna za ludobójstwo!

Nie możemy doczekać się zdecydowanej, stanowczej reakcji ze strony rządzących. Nawet wzniesienie pomnika w stolicy Polski, pamięci pomordowanych Polaków na Kresach Wschodnich, jest problemem nie do pokonania dla polskich władz. **To wstyd! A Naród Wam zaufa!**

Powyższy tekst, jest wynikiem konsultacji z Koleżankami i Kolegami z Kresów Południowo-Wschodnich, którzy są bezpośrednimi świadkami tych wydarzeń.

"Kto milczy w obliczu ludobójstwa - ten współnikiem morderców. Kto nie potępia - ten zezwala".

Anna Kownacka Góral

**ANDRZEJ PRZEWOŹNIK (1963-2010)
SEKRETARZ GENERALNY
RADY OCHRONY PAMIĘCI WALK I MĘCZEŃSTWA**

Strażnik polskich grobów

Andrzej Przewoźnik był człowiekiem bardzo poważnym, traktującym ludzi i sprawy bardzo serio. Z pewnym dystansem wobec tych, z którymi pozostawał w relacjach służbowych. Bardzo pryncypialny, surowy, czasem wręcz trudny dla otoczenia, wiele wymagający nie tylko od innych, także od siebie. Miał własne sprecyzowane zdanie w każdej kwestii - co nie znaczy, że nie można było z nim dyskutować i przekonywać go do innej opinii niż ta,

którą w danym momencie przyjął. Jeśli potrafiło się go przekonać, że jest inne, lepsze rozwiązanie niż to, które sam wypracował, potrafił zmienić zdanie. Ci, którzy pracowali z nim przez lata, cenili te chwile, w których po zakończeniu jakiegoś trudnego zadania dziękował im za wykonaną pracę. Na takie podziękowania naprawdę trzeba było zasłużyć. Niemal za każdym razem, powracając z jakiejś męczącej podróży, choć na chwilę wstępował do sklepu, by kupić drobiazg dla swoich córek. Pamiętają, że mówił, jakie to szczęście mieć dzieci, mieć córki. Choć jego codzienne życie wydawało się być zdominowane przez pracę zawodową, wiedzieliśmy, że rodzina była dla niego naprawdę wielką wartością.

Nie opowiadał się po stronie żadnej opcji politycznej, sam zazwyczaj mówił, że najważniejszą wartością dla niego jest niepodległe państwo polskie. Pamiętamy jednak, że był on także, a może przede wszystkim, historykiem. Że sam lubił tak mówić o sobie. I to była prawda, historia stanowiła jego ogromną pasję. W młodości marzył o karierze naukowej, posiadał konkretne dokonania w tym zakresie. Współpracował z kombatanami, zbierał ich relacje, przeprowadzał kwerendy, gromadził materiały i dokumenty. Przez lata redagował pismo „Niepodległość”. Jego specjalnością w pracach historycznych była łączność zewnętrzna Komendy Głównej AK. [...] Przeciążony obowiązkami, nie mogąc samemu realizować swych naukowych aspiracji, Andrzej Przewoźnik zawsze pilnie śledził naukową pracę innych. Dzięki wsparciu finansowemu Rady OPWiM ukazały się dosłownie setki cennych publikacji z zakresu najnowszej historii Polski. Dziesiątki historyków, w tym także mówiący te słowa, mają wobec niego dług wdzięczności.

[...] Pozostawił po sobie niezrealizowane plany. Szczególnym obiektem jego troski były zawsze polskie groby wojenne i miejsca narodowej pamięci na Wschodzie. W początkach lat 90. wraz z gen. Stanisławem Karolkiewiczem "Szczęsnym", liderem akowskiego ruchu kombatanckiego, wznosił lub odnowił wiele polskich nekropolii na terenie Białorusi. Sytuacja panująca od lat w tym kraju, zamieszkałym przez tak wielu naszych rodaków, spra-

wiła, że nie zdołano zrealizować wszystkich planów i zamierzeń. Akowskie mogiły w Olchówce, Rowinach i Kaczycach, Starzynkach oraz wielu innych miejscach, podobnie jak cmentarze z 1920r., nadal czekają na lepszy czas.

Był zwolennikiem "dekomunizacji" polskich ulic i placów. Problemem pozostawała jednak forma i tryb, w jakim miało się to dokonać. Sprawy tej Rada OPWiM nie zdołała zamknąć. [...] Do Andrzeja Przewoźnika zwracało się wiele środowisk niepodległościowych w sprawach naprawdę ważnych upamiętnień. Zawsze w takich przypadkach deklarował pomoc. Wiele spośród tych spraw nie zostało zakończonych i nie wiemy, jak je potraktują jego następcy. Mogę wymienić tu sprawę pomnika kpt. Stanisława Sojczyńskiego "Warszyca", zamordowanego przez komunistów twórcy Konspiracyjnego Wojska Polskiego i jego żołnierzy, lub sprawę pomnika kresowych okręgów AK – „okręgów bez ziemi”, który kresowi akowcy zamierzali wzniesić w Częstochowie. Czy teraz, gdy zabrakło Andrzeja Przewoźnika, garstka starszych, schorowanych ludzi i młodych społeczników - zdoła pokonać mur urzędniczej obojętności, bierności i bezduszości?

[...] Czuję ogromny żal, gdy myślę o jego rodzinie. O jego żonie i dwóch córkach, które czasem przyprowadzał do siedziby Rady [...]. Przed oczyma mam małe dziewczynki biegnące do ojca stojącego w drzwiach biura. Myślę także, że wraz z Jego odejściem Polska poniosła ogromną stratę. To był człowiek jeszcze młody, przed którym otworem stały różne życiowe drogi. Mógł z pożytkiem wrócić do pracy naukowej - o czym marzył, mógł też dalej służyć krajowi jako wysokiej rangi pracownik państwowy. Mając tak wielki osobisty dorobek, ciągle znajdował się w sytuacji kogoś, kto może wybierać w którą stronę skieruje swoje kroki. Opatrzność jednak skierowała go ku tym, którym przez całe swe życie z takim poświęceniem służył. Ku naszym poległym w Lesie Katyńskim. Rankiem 10 kwietnia 2010 r. do nich dołączył.

Fragmenty wywiadu z Kazimierzem Krajewskim, historykiem, byłym pracownikiem ROPWiM, obecnie IPN.

"Nasz Dziennik", 15 kwietnia 2010

Kazimierz Krajewski

JANUSZ KRUPSKI (1951-2010)
KIEROWNIK URZĘDU ds.
KOMBATANTÓW i OSÓB REPRESJONOWANYCH

Współtworzył Historię Polski

Historia była Jego domeną: historia Polski. Nie ta o rygorach akademickich, ale pojmowana praktycznie poprzez własny w niej udział i świadectwo oraz próby jej korekty po czasie zniewolenia i kłamstwa. Uczeń prof. Jerzego Kłoczowskiego - mediewisty, ale i powstańca podjął po studiach badania nad Iuventus Chrystiana, ale ważniejsza okazała się aktualna rzeczywistość i chęć jej zmiany.

Współtworzył historię Polski w zakresie większym niż ten, na który mógł mieć bezpośredni wpływ. Najpierw sprzeciwił się publicznie obecności socjalistycznego ZSP na KUL-u, na którym w trakcie studiów był prezesem Koła Naukowego Historyków. Był inicjatorem „rewolucji powielaczowej”. To m.in. dzięki Jego staraniom dotarł do Polski w 1976 r. pierwszy powielacz, który dał początek zmianom zwieńczonym "Solidarnością" i Niepodległością.

Był inicjatorem Niezależnego Pisma Młodych Katolików „Spotkania” i liderem środowiska skupianego wokół pisma. To na łamach redagowanego przez nas pisma uruchomiliśmy dział "Byli wśród nas"; dzięki temu można było „poza cenzurą” przeczytać po raz pierwszy o Ryszardzie Siwcu, polskiej ofierze agresji na Czechosłowację, Witoldzie Pileckim, bohaterze Oświęcimia i innych. A pisał o nich m.in. Konrad Bartoszewski "Wir"- legendarny dowódca oddziału partyzanckiego w Zamojskim.

Za swoje zaangażowanie omal nie zapłacił ceny najwyższej. W stanie wojennym ukrywał się; internowany, po wyjściu podjął dotychczasową działalność. Porwany i obłany kwasem przez ekipę kpt.Grzegorza Piotrowskiego przeżył i wrócił do działalności opozycyjnej; jej rezultatem było 35 numerów pisma i około dziećdziesięciu ważnych publikacji książkowych wydanych poza

cenzurą. Pracę wydawniczą kontynuował w latach dziewięćdziesiątych, prowadząc własne wydawnictwo.

Po przewrocie 1989 był m.in. wiceprezesem IPN. To wtedy powstały Kluby im.

Grota Roweckiego, którymi się z ramienia IPN zajmował. Utrwaliło się w nim wtedy przekonanie o potrzebie prawdy o ludziach Armii Krajowej i powojennego podziemia. Miał świadomość ciągłości oporu, podjętego przez środowiska kombatanckie zaraz po wyjściu jej uczestników z więzień bezpieki.

Zwieńczeniem Jego życia była praca na rzecz kombatanatów; realizował ją od 2006 roku jako kierownik Urzędu do Spraw Kombatanatów i Osób Represjonowanych, wykorzystując owocnie możliwość rekompensaty dla ludzi podziemia po latach zapomnienia i szykan. Preferował działania upamiętniające i w różnych formach wypełniające białe plamy naszej historii. Swoją pracę traktował jak misję. Żalił się na brak czasu dla rodziny, ale nie odmawiał swojego udziału w różnego rodzaju uroczystościach kombatanckich, bez względu na ich odległość od Warszawy, w związku z czym w ciągu roku spędzał tylko kilka weekendów w domu. Pamiętał o Polakach i kombatantach na Wschodzie. W szczególny sposób angażował się w zapewnienie godziwych warunków życia dla najuboższych kombatanatów, zabiegając o uruchomienie inicjatyw ustawodawczych, których celem byłoby zapewnienie im m.in. darmowych leków. Z myślą o większej sile przebicia dla interesów kombatanckich czynił starania o zmianę miejsca Urzędu w strukturach władzy.

Miał czas dla każdego i wszystkich przyjmował, obdarowując dla podtrzymania kontaktu numerem telefonu komórkowego. Odszedł zawsze skromny, niezłomny w myśleniu i działaniu działacz opozycji, lider środowiska "Spotkań", redaktor i wydawca, bezpartyjny działacz państwowy, ojciec siedmiorga dzieci.

Janusz Bazydło

PLK CZESŁAW CYWIŃSKI (1926-2010)
PREZES ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY
ARMII KRAJOWEJ

Czesława poznałem przed czternastu laty, kiedy po zakończeniu pracy w Urzędzie ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych powierzono mi funkcję kierownika Ośrodka Informacji i Wydawnictw w Zarządzie Głównym Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Czesław nadzorował pracę tego Ośrodka ze stanowiska członka prezydium Zarządu Głównego. Wspólnie opracowywaliśmy strategię i organizowaliśmy wiele konferencji popularyzujących działalność Polskiego Państwa Podziemnego, w tym Armii Krajowej i całego podziemia niepodległościowego w okresie od 1939 do 1989 roku. Upamiętnialiśmy tę działalność w publikacjach, wydawnictwach książkowych wspierając ogólnozwiązkowy system periodyków i redagując "Biuletyn Informacyjny AK" jako organ prasowy Związku, kontynuując w formie miesięcznika popularny podczas II wojny światowej "Biuletyn Informacyjny", pismo Komendy Głównej AK. Kontynuację tę potwierdził Minister Obrony Narodowej decyzją nr 517/MON z 9 listopada 2007 roku, nadając "Biuletynowi" tytuł i medal "Kustosze Tradycji Chwały i Sławy Oręża Polskiego" za wybitne zasługi pisma dla tradycji oręża polskiego.

Zbliżyło nas z Czesławem kresowe pochodzenie. On, urodzony w Wilnie mieszkaniec podwileńskich Ponar i ja - urodzony w Białymstoku - diecezji wileńskiej. Nasza przeszłość AK-owska była różna. Czesław był żołnierzem I Brygady Wileńskiej "Juranda", walczył m.in. w Operacji "Ostra Brama", za co był zesłany do Kaługi na 2 lata. Ja zaś, mieszkając w Częstochowie, byłem żołnierzem Korpusu "Jodła" w inspektoracie "Jura". Spotkaliśmy się z Czesławem w Warszawie po odzyskaniu przez Polskę suwerenności po niesławnym okresie PRL-u. Wiele godzin codziennie, do późna, poświęconych działalności ŚZZAK bardzo nas zbliżyło. Zaprzyjaźniliśmy się.

Naszą współpracę brutalnie przerwała tragedia na wojskowym lotnisku pod Smoleńskiem, w drodze do Katynia. Czesław, jako przewodniczący Zarządu Głównego ŚZŻAK i przewodniczący Rady Kombatanckiej przy ministrze-kierowniku Urzędu ds. Kombatantów, działacz wielu instytucji kresowych oraz kilku innych ważnych dla Polski Gremiów zaproszony został przez Pana Prezydenta Lecha Kaczyńskiego na wspólny lot do Katynia. Podzielił niestety los wszystkich lecących tym rejssem. Nikt nie ocalał.

Lucjan Cyprian Sikora

ECHA WOŁYNIA

W ramach programu „Studio Wschód” TVP Wrocław, red. Grażyna Orłowska-Sondej podjęła inicjatywę uporządkowania cmentarza w Moczulance koło Ludwipola na Wołyniu. W miesiącu lipcu i sierpniu 2009 r. wolontariusze z wrocławskich szkół średnich wraz z nauczycielem historii z Wrocławia Jerzym Rudnickim oczyścili i ogrodzili cmentarz. Postawiony został 5-metrowy krzyż, wykonany przez miejscową ludność. Podjęto również dalsze działania.

Do akcji włączyło się środowisko wrocławskie ŚZŻAK Okręg Wołyński z prezesem Henrykiem Słowińskim, proboszcz parafii rzymsko-katolickiej w Sarnach ks. Władysław Łukasiewicz i proboszcz parafii w Mirkowie koło Wrocławia ks. Wacław Kuriata. Powstał projekt ustawienia dwóch obelisków po obu stronach ustawionego tam krzyża, a na nich tablice z nazwiskami pochowanych tam mieszkańców w liczbie 231. Na tablicach tych umieszczono również nazwiska poległych i rozstrzelanych przez NKWD żołnierzy z oddz. „Wujka-Bomby”, a także z samoobrony i konspiracji w liczbie 38. Wydatną pomoc w realizacji tego przedsięwzięcia okazał miejscowy sołtys z Hubkowa. Nad

wszystkim czuwał i kierował ks.Władysław Łukasiewicz. Tablice wykonano w Polsce. Projekt całości wykonał Pan Kazimierz Danielewicz. W to przedsięwzięcie zaangażowanych było wiele osób. Słowa podziękowania należą się prezesowi ŚZŻAK Okręg Wołyński panu Tadeuszowi Wolakowi za przekazanie tablic granitowych, na których umieszczono nazwiska tam pochowanych i poległych, a których ciała leżą w nieznanymi miejscach. Zaangażowana była również Anna Ostromięcka-Lewak, której stryj por.Włodzimierz Ostromięcki zginął dnia 04.09.1943 r. pod Willą wraz z moim ojcem i pochowani zostali właśnie na tym cmentarzu.

Działania te zaowocowały uroczystą mszą świętą, która odbyła się dnia 23.10.2009 r. na cmentarzu w Moczulance.

W tym też dniu została odprawiona msza poranna w kościele parafialnym w Sarnach dla tych, którzy nocowali w Sarnach. Tam powitał nas mer miasta Sarny Leontin Mikołajczuk bochnem chleba, kwiatami oraz ciepłymi i serdecznymi słowami. Po mszy udaliśmy się do Moczulanki.

Przed cmentarzem powitał nas bardzo serdecznie bochnem chleba sołtys z Hubkowa Iwan Suchlak z dwoma uroczymi Ukrainkami, ubranymi w stroje ludowe. Msza święta rozpoczęła się w samo południe, którą koncelebrowali: kanclerz kurii biskupiej w Łucku ks.Wiktor Makowski, ks.Władysław Łukasiewicz, ks.Wacław Kuriata, proboszcz parafii greko-katolickiej w Sarnach ks.Mikołaj Berdnyk. W tych uroczystościach uczestniczył również konsul generalny RP w Łucku pan Tadeusz Janik.

Część muzyczną mszy, wraz z nagłośnieniem zapewnił chór "CANTA NOBISCUM" pod dyrekcją organisty Marka Pisarskiego z Wrocławia. W trakcie mszy został poświęcony krzyż i obeliski. Msza została odprawiona w intencji tych wszystkich, którzy pozostali na tej ziemi. We mszy uczestniczyło ponad 60 osób z Wrocławia i okolic, a także z innych regionów Polski, których bliscy są pochowani na tym cmentarzu lub zginęli w tym rejonie. Było też sporo miejscowej ludności ukraińskiej. Msza przebiegała w duchu pamięci, ale też w duchu miłości i pojednania. Była bardzo

uroczysta i wzruszająca. Wycisnęła niejedną łzę u bliskich, których ciała tam leżą lub zostali upamiętnieni na tych tablicach.

W całej tej uroczystości uczestniczyła ekipa TVP Wrocław z panią Grażyną Orłowską-Sondej, która reportaż z tej uroczystości wyemitowała w ramach "Studia Wschód" w dniu 29.10.2009 r.

Część ich pamięci
Niech spoczywają w spokoju

Ryszard Kłosiński

DOROCZNA UROCZYSTOŚĆ WOŁYNIAKÓW W SANKTUARIUM MARYJNYM W KAŁKOWIE-GODOWIE

Stało się już wspaniałą tradycją Środowisk Wołyńskich czczenie Święta 3-go Maja w Sanktuarium Matki Bożej Świętokrzyskiej w Kałkowie-Godowie, w starym zamczysku Golgocie stanowiącym coś w rodzaju muzeum narodowego. Zamczysko zbudowano na przełomie XX i XXI wieku. Budowniczym zamczyska i twórcą Muzeum był przewielebny ksiądz infułat Czesław Wala, proboszcz parafii pod wezwaniem Św. Maksymiliana Kolbego w Kałkowie-Godowie - kustosz Sanktuarium. Golgota zawiera 38 Oratoriów - Kaplic (a dalszych pięć jest w budowie - pod jedną nazwą: „Golgota Wschodu”) poświęconych najnowszej historii Polski w tym Kaplicy Męczenników Wołynia i 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Inicjatorem utworzenia Kaplicy Wołyńskiej był niezapomniany Leon Karłowicz. W dniu 3-go Maja 2002 roku aktu poświęcenia Kaplicy dokonał ks. arcybiskup Bolesław Pylak - Metropolita Lubelski. Od tamtej pory kaplica stanowi część Ziemi Wołyńskiej, oczywiście w odczuciu byłych mieszkańców Wołynia.

2-go Maja 2010 roku odbyła się kolejna uroczystość. Tym razem uroczystość wmurowania i poświęcenia Urny ze zbroszoną

męczeńską krwią Ziemi Wołyńską. Trzy dni trwało czuwanie modlitewne w kościele Sanktuarium. Sama uroczystość poświęcenia Ziemi Wołyńskiej również tradycyjnie rozpoczęła się o godzinie dwunastej. Wprowadzono sztandar krakowskiego środowiska Żołnierzy 27.Wołyńskiej Dywizji AK. Poczta sztandarowemu asystowało pięciu harcerzy również z Krakowa. Pocztem dowodził prezes Włodzimierz Wowa Brodecki - ułan. Już samą ułańską postawą robił wrażenie na uczestnikach uroczystości.

Rozpoczęła się Msza Święta. Na wstępie Ksiądz Infulat powitał wszystkich zebranych, a szczególnie - organizatorów uroczystości w tym Pana doktora Leona Popka przedstawiciela Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie. Bardzo miłymi słowami powitano chór przybyły z Równego na Wołyniu, który przyjechał na zaproszenie Środowiska Lubelskiego 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Niestety, Na uroczystość nie przybyli mimo zaproszenia: ksiądz dr Marian Duma i ksiądz kan. Franciszek Ostrowski z Lublina. Homilię wygłosił ksiądz Andrzej Wróblewski z miejscowej parafii. Ksiądz poza częścią liturgiczną krótko podał historię Oratorium Wołyńskiego. Wołyński chór nadspodziewanie pięknie śpiewał pieśni religijne. Jedna z członkiń chóru odegrała na skrzypcach Ave Maria - Ch.Gounod'a. Artystyczne dźwięki skrzypiec wzruszyły zebranych w kościele wiernych. Widać było wyraźnie że i Ksiądz Infulat, główny celebrant mszy Świętej, był także wzruszony.

Po mszy Świętej poczet sztandarowy, a po nim celebranci i zebrani, procesjonalnie przeszli do Golgoty to jest do Oratorium Męczenników Wołynia i 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Po krótkiej modlitwie Ksiądz Infulat poświęcił sarkofag z urną i urnę z ziemią Wołyńską. Po czym oddał głos chórowi.

Zabrzmiały polskie patriotyczne pieśni. Zabrzmiały zwykłe polskie pieśni. Na wielu twarzach spłynęły nawet rzęsiste łzy. „Za Niemnem, za Niemnem”, „Polesia czar” i inne wyzwołyły wprost żywe wspomnienie z czasów młodości zebranych uczestników uroczystości, bowiem zdecydowana większość uczestników uroczystości to starszaki. A Chór śpiewał. Śpiewał tylko po polsku, zaciągając czasami wschodnią i tonacją i słowami. To

tylko dodawało uroku i wrażeń. To były nasze pieśni. To był nasz chór. Głosy i harmonia melodii opracowane wprost do perfekcji. Chór „Sursum Corda” - takie nosi imię - wystąpił pod dyrekcją pani Ireny Zalewskiej, oczywiście również z Równego.

Na zakończenie muszę dodać, że inspiratorem, fundatorem Urny i organizatorem był Antoni Mariański z Opola, były mieszkaniec Zasmyk na Wołyniu. Sarkofag i wykonanie ufundował Przewielebny ksiądz Czesław Wala - kustosz Sanktuarium. Ksiądz Kustosz zafundował również nocleg i posiłki chórowi z Równego. Chór przyjechał na zaproszenie Środowiska Lubelskiego 27. Dywizji Wołyńian. Ziemię do Urny pobrali i przywieźli Julian Jamróz z Brzegu - były mieszkaniec Międzyrzeca Koreckiego i dwoję ludzi - Alicja i Andrzej (małżeństwo) ze Słupska. Nazwisk nie znam.

Później był obiad i rozmowy, wspomnienia. Zaproszenia do spotkania w Równem...

Po powrocie do domu nasunęło mi się jedno tylko pytanie: na czym polega spór o pojednanie między państwami polskim i ukraińskim? Czyżby tylko na szczeblu rządowym nie mogło dojść do pojednania?

Antoni Mariański

Załącznik - Akt erekcyjny

Załącznik - Ziemia Wołyńska

Załącznik nr 1

Akt Erekcyjny

*W szóstym roku pontyfikatu Ojca Świętego Benedykta XVI
Gdy Prymasem Polski był Ks. Arcybiskup Henryk Muszyński, metropolita
gnieźnieński*

Ordynariuszem Diecezji Rądomskiej – Ks. Biskup Henryk Tomasiak,

Kustoszem Sanktuarium Bolesnej Królowej Polski

Matki Ziemi Świętokrzyskiej - Ks. Infulat Czesław Wala

3 maja 2010 roku w Oratorium poświęconym pamięci

27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej

Oraz pomordowanych na Wołyniu

Przez ukraińskie bandy UPA

Dokonano poświęcenia i wmurowania Urny z

*Zbroczoną męczeńską krwią
ZIEMIĄ WOŁYŃSKĄ*

*Ziemia pobrana została z cmentarzy wojennych i cywilnych
W Zasmykach, Międzyrzeczu Koreckim, Korcu, Porycku,
Rymaczach, Bielinie, Sznodohoszczu i w Kowlu.*

*Do Urny włożono oprócz Ziemi wstęp do książki
Leona Marianańskiego-Karłowicza
„Zasmyki były naszym domem”*

*Poświęcenie Ziemi Wołyńskiej poprzedziła Msza Święta
Celebrowana przez Ks. Infułata Czesława Wala
- Kustosza Sanktuarium, Ks. Kanoniką dr Mariana Dumę –Proboszcza Pa-
rafii Świętego Krzyża
w Lublinie - Kapelana Lubelskiego Środowiska 27 Wołyńskiej Dywizji Pie-
choty
Armii Krajowej
Oraz Ks. Kanoniką Franciszką Ostrowskiego z Lublina*

*Urnę z Ziemią Wołyńską poświęcił
Ks. Infułat Czesław Wala - Kustosz Sanktuarium.*

*W uroczystości udział wzięli
Żołnierze 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej
Miłośnicy Ziemi Wołyńskiej, zaproszeni goście
I miejscowe Społeczeństwo*

*AKT ERREKCYJNY PODPISALI
(tylko na oryginale)*

Księża i liczne grono Uczestników uroczystości

Kopię niniejszego AKTU włożono do Urny z Ziemią Wołyńską

Kałków-Godów 3 maja Roku Pańskiego 2010

ZIEMIA WOŁYŃSKA

Wołyń. Mój Wołyń. Kraina sercu najbliższa. Gdziekolwiek jestem i czymkolwiek się zajmuję, zawsze mam przed oczyma tamtą ziemię: równą, rozległą, czasem urozmaiconą niewielkimi wzniesieniami, pociętą siecią piaszczystych, to znowu czarnoziemnych, niekiedy wyboistych dróg, co parę stajani zanurzających się w lesie z niebotycznymi sosnami i dębami lub strzeżonych przez dorodne zboża, kwieciste łąki, ciche, szumiące na wietrze, zielone, kopiaсте krzewy o najrozmaitszych kształtach i odcieniach. Widzę do dziś rozpostarte szeroko wydłużonymi nierównymi rzędami wśród obciążonych owocami sadów, a kępami wonnych bzów i jaśminów nasze wsie polskie, a także rozrzucone aż hien, po horyzont daleki ukraińskie chutory: strzechy słomiane, pokryte czasem grubą warstwą seledynowo-szarych mchów, pochylone ze starości, albo w domach nowo budowanych dachy lśniące blachą, eternitem, czerwonymi dachówkami. A wewnątrz owych chałup i domów dobrych ludzi. Prostych, bywało - podpisujących się niekiedy krzyżykami, bo nie dane im było uczyć się w zwykłych szkołach, chyba po cichu, skrycie w prywatnych izbach, w tajemnicy przed okiem czujnego żandarma. Sprawcy długoletniej niewoli lekcewazyli podstawowe prawa potrzeby każdego człowieka, w zakresie dostępu do wiedzy.

Tak rosły całe pokolenia ludzi nieuczonych, lecz mimo to mądrych; nie wychowanych według przepisów bon-tonu - a kulturalnych, obdarzonych wrodzoną inteligencją i głęboką wzajemną życzliwością, noszących w sobie godność i prawdziwego polskiego gospodarza, uczciwego i ofiarnego obywatela - Polaka, u którego między mową, myślą i uczynkiem nie było rozbieżności. Jeżeli nawet zdarzały się jednostki o skrzywionym nieco charakterze, to tylko dla potwierdzenia prawdy o tym, że każda reguła ma wyjątki. Lecz gdy nadeszła chwila próby, wszyscy gotowi byli iść „na śmierć po kolei jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec”, by bronić polskiej, rodzinnej wołyńskiej ziemi.

I szli i bronili.

Były lata piękne, słoneczne i pochmurne, burzlie. Padały czasem długotrwałe deszcze i zdarzały się równie długie susze. Były drogi jak stół gładkie na wołyńskich czarnoziemach, to znow tonące w grubych warstwach gęstego błota. Ale gdy biegnę myślą do moich rodzinnych stron, niw ojczystych, zasmyklich pól i łąk, widzę je zawsze oblane promieniami słońca, ciche, przytulne, serdecznie bliskie i brzmi mi w uszach śmiech wesoły, radosny, promienny i płyną pieśni rzewne, potoczyste, niekiedy skoczne i zawadiackie, niezwykle harmonijne, ujmujące melodią tęskną, przeciągłą, jak ta ziemia

rozległa, nieogarniona ludzkim wejrzeniem.

Wszystko tam było nasze, odziedziczone po ojcach i dziadach, nasze własne. Tam zostawiliśmy swoje dzieciństwo i młodość, lata piękne i czyste, przepojone beztrudną i szczęściem, gdy nieraz z radości miało się ochotę krzyknąć i szaleć, skakać i pędzić gdzieś w nieznaną, przytulać do siebie ludzi, ptaki zwierzęta, drzewa i krzewy zielone i złociste kłosa dojrzewających zbóż... Bo ta ziemia była również bliżej nieba, a dystans między człowiekiem a Stwórcą tylko tam był tak niewielki i serdeczny, jak między dobrymi dziećmi a kochającymi rodzicami.

Dzisiaj po ponad pięćdziesięciu latach od dnia opuszczenia i pożegnania naszych rodzinnych ziem, my wygnańcy, czujemy z nimi serdeczne związki o tyle mocniej, o ile bardziej i wyraźniej zdajemy sobie sprawę, ile polskiej krwi, krwi niewinnej i bohaterkiej zarazem, wsiąkło w każdą grudkę wołyńskiej ziemi w latach ostatniego naszego tam pobytu. Pozostali w niej na zawsze i strzegą jej polskości pomordowani i polegli bracia, koledzy, przyjaciele. Bez krzyży na mogiłach, jakże często zbiorowych, chwastami porośniętych, częściej zrównanych z ziemią i zapomnianych. Mogiły mieszkańców całych wsi i osad, z niemowlętami kobietami i starcami niedołęznymi wiernie strzegą polskiej wołyńskiej ziemi. Prochy tysięcy jej synów i córek wyrwanych stamtąd w latach sowieckiej okupacji 1939 do 1941 r. i w okrutny barbarzyński sposób zapędzonych w stepy Kazachstanu i w tajgi mroźnej, ponurej Syberii. Do dzisiaj bieleją tam ich kości - symbol niewinnego męczeństwa. Inne poprzykrywał wichur piaskiem irańskiej i libijskiej pustyni. Jeszcze inne, zebrane pieczołowicie przez kolegów z krwawych pobojozisk, spoczywają na cmentarzach wojskowych Tobruku, Narwiku czy Monte Cassino... Wołyń, jak chyba żadna polska kraina, z wyjątkiem bohaterkiej naszej stolicy, zapłacił za swą polskość wysoką cenę krwi.

Da Bóg, że nie na darmo.

(Leon Karłowicz – „Zasmyki były naszym domem”)

Tekst „Ziemia Wołyńska” włożono do urny z Ziemią Wołyńską w Sanktuarium Bolesnej Królowej Polski Matki Ziemi Świętokrzyskiej w Kałkowie-Godowie dnia 3 maja roku Pańskiego 2010

RELACJA

z uroczystości sadzenia dębu ku pamięci 70 rocznicy mordu katyńskiego, które odbyły się 30 kwietnia 2010r. w Tarle, a zorganizowanej przez kierownictwo szkoły podstawowej im.M.Konopnickiej.

Środowisko lubelskie Żołnierzy 27 WDP AK było reprezentowane przez następujące osoby: Eugeniusz Pindych – Prezes, Stanisław Małecki – Wiceprezes, Kazimierz Mojak – Wiceprezes, Jan Tomczuk – Członek, Włodzimierz Sieradz – członek. W uroczystościach towarzyszył poczet sztandarowy Środowiska.

Msza św. odbyła się w kościele parafialnym w Tarle. Wierni wysłuchali kazania, którego tematem była 70 rocznica mordu oficerów WP w Katyniu w powiązaniu z tragiczną katastrofą samolotu pod Smoleńskiem, gdzie zginęli Prezydent Lech Kaczyński z Małżonką i 94 osoby z towarzyszącej delegacji. Ksiądz wspominał również o mającym się odbyć sadzeniu dębu ku czci ppor.rez. WP Tadeusza Tomaszewskiego, który zginął strzałem w tył głowy w Katyniu.

Po mszy św. nastąpił przemarsz na plac przed gmachem szkoły, gdzie odbyła się podniosła uroczystość sadzenia dębu.

W wydanym na tę okoliczność folderze pt.: „Katyń rok 1940 – ocalić od zapomnienia ppor.rez. Tadeusz Tomaszewski” podano m.in.: W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany do 45 Pułku Strzelców Kresowych w Równem. Do niewoli sowieckiej dostał się 17 września w Równem na Wołyniu i został osadzony w obozie jenieckim w Kozielsku. W obozie tym przebywał przynajmniej do 13 kwietnia 1940 r., po czym został wywieziony do lasu katyńskiego i zamordowany. Żona Monika o losach męża dowiedziała się w 1943 r. z opublikowanej przez Niemców liście katyńskiej.

W sali gimnastycznej szkoły przybyłych gości - przedstawiciele Lubelskiego Środowiska Żołnierzy 27 WDP AK, Wojska Polskiego, Kuratorium Oświaty z Lublina, Duchownych, Wójta Gminy Niedźwiada, Sołectwa z Tarla, Pana Andrzeja Mazurka – fundatora obelisku, Grono Pedagogiczne szkoły, młodzież szkolną, ludność miejscową powitała dyrektor szkoły Pani Maria Ko-

zuchowska, przedstawiając cel uroczystości poświęconej zamordowanemu w Katyniu ppor.rez. Tadeuszowi Tomaszewskiemu, byłego mieszkańca Tarła.

Następnie przemawiał Prezes Środowiska Żołnierzy 27 WDP AK. W swym wystąpieniu Prezes E.Pindych przedstawił historię powstania 27 WDP AK, jej walki z okupantem niemieckim i z UPA w obronie mordowanej ludności polskiej na Wołyniu. Podał też, że 1/3 ofiar tych mordów były dzieci. Z myślą o tamtych ponurych wydarzeniach zorganizowana była uroczystość patriotyczna przez kierownictwo szkoły podstawowej im.27 WDP AK w Skrobowie, gdzie odsłonięto tablicę poświęconą „Dzieciom Wołynia” pomordowanym przez UPA. To wystąpienie nagrodzono gromkimi oklaskami.

Następnie zabrała głos przedstawicielka Kuratorium Oświaty z Lublina.

Po tych wystąpieniach odbyła się część artystyczna młodzieży szkolnej o głębokiej treści patriotycznej związanej z 70 rocznicą Zbrodni Katyńskiej.

Na zakończenie tego spotkania cała grupa lubelskiego Środowiska dokonała wpisu do księgi pamiątkowej. Zarząd Środowiska na pamiątkę swego pobytu wręczył Pani Dyrektor szkoły obraz zamku lubelskiego wykonany przez kol. Jana Tomczuka

Włodzimierz Sieradz

RELACJA
z uroczystości poświęcenia i wmurowania
Urny z Ziemią Wołyńską w Oratorium Wołyńskim
w Kałkowie - Godowie w dniu 2 maja 2010 r.

Co roku Wołyniacy z całej Polski spieszą do Kałkowa-Godowa, by uczestniczyć w poświęceniu i odsłonięciu tablicy kamiennej poświęconej pamięci Wołyniaków. I tak!

„Wołyn” to duża tablica kamienna - mówiąca o historii Wołynia i oddająca hołd ofiarom rzezi Wołyńskiej - „Księża Wołynia-

cy”; „Józef Turowski”; „Wojciech Kiwerski”; „Leon Karłowicz”; „Ryszard Markiewicz”; „Pamięci Polaków z Wołynia”; „Żołnierzom 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej poległym w walkach o wolność Polski na Wołyniu, Polesiu i Lubelszczyźnie”, także znajdują się przedmioty wydobyte z masowych grobów pomordowanych Polaków w Ostrówkach (Gabłota).

W tym roku - w dniu 2 maja - uczestniczymy w uroczystości poświęcenia i wmurowania Urny z Ziemią Wołyńską. Wielka to sprawa i okazja. Na wstępie trochę historii dla tych, którzy są tu dzisiaj po raz pierwszy. Twórcą Sanktuarium jest niestrudzony ks.Czesław Wala obecny kustosz - początek budowy 1983 r. Golgota to najnowsze dzieło Polski. Obecnie mieści się tu 38 Kaplic. Nasza kaplica powstała jako ostatnia (2002 r.). Jest na samym froncie. Czy to nie łaska Boska. Inicjatorem i głównym fundatorem jej był śp.Leon Karłowicz - długoletni Prezes Lubelskiego Środowiska Żołnierzy 27.Wołyńskiej Dywizji AK.

Całość urządzenia wystroju wnętrza dokonał w swojej pracowni i ufundował Jacek Siedlecki - syn naszego żołnierza - Romualda. Ks.Czesławowi Wali zawdzięczamy, że dał nam to miejsce na kaplicę, bo nie było już miejsca, ale „dla Wołyniaków się znalazło.” I jeszcze powiedział „Proszę umieścić jak najwięcej danych historycznych o tamtej bolesnej ziemi i jej tragicznych losach, bo w narodzie odczuwa się głód wiedzy o tym. A to są przecież nasze dzieje”.

Dziś przeżywamy uroczystość poświęcenia Urny z Ziemią Wołyńską - tej ziemi przesiąkniętej niewinną krwią bestialsko pomordowanych przez nacjonalistów ukraińskich Wołyniaków tylko za to, że byli Polakami. Tablica tej Ziemi, będzie przypominać o Wołyniu i jego tragedii setkom tysięcy pielgrzymów. Lubelskie Środowisko Żołnierzy 27.Dywizji AK świętuje tę uroczystość przez 3 dni, dzięki chórowi, który przyjechał aż z Równego, by uświetnić naszą uroczystość. Już w dniu 1 maja witaliśmy ten chór w Lublinie u p.Zofii Wendler. Pragnę podkreślić, że to ona zorganizowała przyjazd chóru, zapewniła mu transport, zakwaterowanie i wyżywienie. Po posiłku w Lublinie chór zaśpiewał kilka pieśni i odprowadziliśmy ich do samochodu, który powiózł do

Kałkowa-Godowa. Oczywiście pilotowała im nieoceniona p.Zofia. Tam bardzo ciepło i serdecznie przyjął ich Kustosz Sanktuarium - ks.Czesław Wala , a następnie ugościł i przenocował. Rano zwiedzali "wszystkie cudenka" - jak to sami nazwali w Kałkowie i okolicy (a jest co zwiedzać). Przed godz. 12-tą wchodzimy do Kościoła p.w.Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski. Sam kościół niewielki, ale przepiękny - cały tonie w kwiatach. Przy ławkach piękne bukiety z białych lilii, przy ołtarzu - cały ogród biało-czerwonych tulipanów. U góry łni w słońcu piękna, duża korona Matki Bożej Bolesnej - Królowej Polski. Myślę, że na całym świecie nie było tak cudnie, jak tu w tym na pozór skromnym Kościółku. Wrażenie niesamowite Przed mszą Św. miejscowy ksiądz prowadzi modlitwy za zmarłych, odmawiając wraz z wiernymi różaniec. Następnie uroczystość wprowadzono sztandar Krakowskiego Środowiska 27 Wołyńskiej Dywizji AK.

Msza Święta o godz.12⁰⁰.

Na wstępie - gospodarz uroczystości - ks.Czesław Wala powitał serdecznie wszystkich wiernych. Podkreślił ważność uroczystości i wprowadził trochę historii. Szczególnie gorąco powitał: poczet sztandarowy z Krakowa, wymienił imiennie wszystkich gości i powitał wszystkich zebranych. Msza Św. koncelebrowana, główny celebrant - ks.Czesław Wala. Homilię wygłosił ks.Andrzej Wróblewski. Podczas mszy Św. odbył się Chrzest dziecka. Ceremonię chrztu św. sprawował ks.Czesław Wala. Podczas mszy Św. Chór z Równego „Sursum Corda” śpiewał: pieśni Maryjne, a po mszy dał krótki koncert - głównie pieśni patriotyczne. Tu nastąpiło uroczyste wyprowadzenie sztandaru, a następnie w asyście chóru, Wołyniaków, gości. i licznie zgromadzonych wiernych ks.Wala poprowadził procesję do Golgoty. Ks.Czesław Wala podał krótką historię o Oratorium Wołyńskim. Odczytał akt erekcyjny, poświęcił Urnę z Ziemią Wołyńską i odmówił wraz z wiernymi modlitwy za poległych żołnierzy Wołynia, za pomordowanych niewinnie Wołyniaków i za ofiary tragedii pod Smoleńskiem. Na zakończenie podał krótkie ogłoszenia. Pani Zofia Wendler podała również krótkie ogłoszenia, głównie dla chóru odnośnie dalszego programu. Przez cały czas chór

śpiewał pieśni patriotyczne (rozculił nas do łez). Pragnę dodać, że Ziemia Wołyńska została usytuowana w Kaplicy Wołyńskiej w pięknym refektarzu wykonanym z kamienia górskiego w beżowym kolorze - w urnie za szkłem. Przed poświęconą Ziemią wołyńską w urnie - przed relikwiarzem wieniec złożyła Joanna Zamościńska-Kucałowa z Krakowa. Liczne znicze zapaliły: Leokadia Tylenda - Wołynianka ze Szczecinka, Kazimiera Siedlecka i Irena Zamościńska - ze Środowiska Lubelskiego. Przez cały czas chór śpiewał pieśni patriotyczne - rozculił nas. Z łezką w oku udaliśmy się do herbaciarni na obiad. Tu wymiana refleksji, wyrazy podziwu, pożegnania i odjazdu.

Dla nas Lubelaków to nie koniec uroczystości, udaliśmy się do Lublina. Tu w siedzibie Rady ks.Proboszcz z Parafii pw. Św. Trójcy Eugeniusz Bielak ugościli nas kolacją. Dalej, trochę wspomnień, a na koniec dużo pieśni patriotycznych, wykonanych przez chór „Sursum Corda” i dopiero po godz.22 chór udał się na noclegi - większość Pani Zofia ulokowała u siebie i sąsiadów, a część przyjechała do Lublina.

3 maja - święto kościelne

wczesnym rankiem chór „Sursum Corda” udał się do Kościoła p.w.Św.Trójcy, by wziąć udział we mszy Św. o godz.10. Towarzyszyła im p.Zofia Wendler, Ryszard Mariański – Prezes Środowiska Żołnierzy 27.Wołyńskiej Dywizji w Malborku i Andrzej Karłowicz - członek Środowiska Lubelskiego. Podczas mszy Św. Chór śpiewał pieśni Maryjne, a na koniec pieśni patriotyczne. Oklaskom i bisom nie było końca. Muszę podkreślić, że my wszyscy obecni na uroczystości przeżyliśmy niezapomniane chwile.

Reasumując powyższe 3-dniowe uroczystości muszę podkreślić, że dla mnie była to piękna poezja i do dziś wydaje mi się to snem. Zarząd Środowiska 27.WDP AK w Lublinie wyraża swoją głęboką wdzięczność i wielkie uznanie oraz składa serdeczne podziękowania: przede wszystkim - Bogu Najwyższemu - za łaskę doczekania i możliwość uczestniczenia w tej uroczystości; - Ks. Kustoszowi - Czesławowi Wali. - gospodarzowi uroczystości za ufundowanie relikwiarza, za sprawowanie Eucharystii, za poświęcenie Ziemi Wołyńskiej i za „bycie z nami”. Nie sposób wyliczyć

wszystkiego, co czyni dla Wołyniaków. Niech nam żyje 200 lat - ku chwale Boga i Ojczyzny; - ks.Andrzejowi Wróblewskiemu - za sprawowanie Eucharystii i wygłoszenie homilii; - Antoniemu Mariańskiemu inicjatorowi uroczystości i fundatorowi Urny z Ziemią Wołyńską. Pomagał mu dużo bratanek – Andrzej Karłowicz. Spełnili oni marzenie śp.Leona Karłowicza - długoletniego Prezesa Lubelskiego Środowiska Żołnierzy Dywizji, który na uroczystości poświęcenia Kaplicy w Kałkowie w dniu 3.maja 2000 powiedział: „Marzy mi się tu Urna z Ziemią Wołyńską..... Niech Kaplica Wołyńska dobrze służy Bogu, Ojczyźnie i naszej umiłowanej, krwią niewinną przesiąkniętej Ziemi nad Turią, Stochodem, Styrem i Horyniem”; - Chórowi „Sursem Corda” z Równego, który swoim pięknym śpiewem uświetnił naszą uroczystość. Tu szczególne słowa uznania i podziękii należą się Pani Zofii Wendler, która była inicjatorem i głównym organizatorem przyjazdu chóru zza granicy. To ona zapewniła mu przyjazd, zakwaterowanie i cały czas pilotowała. - Poczтови sztandarowemu z Krakowa, który uświetnił naszą uroczystość; - dr Leonowi Popkowi - który reprezentował Instytut Pamięi Narodowej w Lublinie za udział w uroczystościach; - Środowisku Krakowskiemu, które reprezentowała Joanna Zamościńska wraz z Rodziną - za udział w uroczystościach; - Środowisku z Malborka 27.Dywizji, które reprezentował Prezes - Ryszard Mariański. Środowisku Chełmskiemu żołnierzy 27.Dywizji, które reprezentował Eugeniusz Mariański wraz z Rodziną za udział w uroczystościach; - Wszystkim wiernym z Kałkowa i okolicznych miejscowości, którzy tak licznie przybyli, by przeżyć z nami wspólnie tę uroczystość i zanieść wspólne modły za Wołyniaków; - Wszystkim Wołyniakom, sympatykom oraz miłośnikom Wołynia, którzy z całej Polski przybyli, by razem modlić się z nami, przeżyć wszystko razem z nami i wreszcie spotkać się z nami; - Nie zapominamy również o naszych Wołyniakach chorych i niesprawnych fizycznie, którzy nie mogli być z nami, ale wierzymy, że duchowo łączyli się z nami - dziękujemy im za modlitwę i duchową łączność oraz życzymy im dużo zdrowia . To dla Was - Kochani - opisałam tak szczegółowo przebieg, bo wiem że w swojej samotności będziecie często do

tego wracać; - Wszystkim tym, którzy uczestniczyli w naszej uroczystości lub duchowo łączyli się z nami jeszcze raz gorąco dziękujemy i życzymy dużo zdrowia, a Bóg Łaskawy i Miłosierny niech Wam stokrotnie wynagrodzi.

Irena Zamościńska

PAMIĘCI WYBITNEGO RODAKA PANA JANA JELINKA

Dnia 17 grudnia 2009 roku pożegnaliśmy się na zawsze z najstarszym rodakiem z Kupiczowa panem Janem Jelinkiem. Zmarł spokojnie w zaciszu pół roku po swych 97 urodzinach w Pradze-Strzesowiczach, gdzie przebywał ponad rok.

Jan Jelinek nie urodził się w Kupiczowie, gdzie przebywał tylko siedem lat jako ewangelicki kaznodzieja. Lecz z Kupiczowem i z Kupiczowiakami był bardziej zżyty i związany niż niejeden urodzony tam Kupiczowiak. Przybył z Zelova, gdzie urodził się 10.05.1912. jako potomek czeskich wygnańców. W tak krótkim czasie kiedy przebywał w Kupiczowie dokonał wiele dobrego. Przede wszystkim udało mu się pogodzić katolików i ewangelików, którzy do tego czasu byli bardzo skłóceni. Dziś możemy powiedzieć, że był pionierem ekumenizmu.

W czasie wojny, w okresie niemiłosiernej likwidacji Żydów i bezlitosnego prześladowania Polaków przez banderowców ewangelicki kościół i parafia stały się schronieniem prześladowanych. Pan Jelinek i jego żona (w roku 1942 ożenił się) uchronili dziesiątki osób (często całe rodziny), udzielali im schronienia i zapewnili bezpieczeństwo, wielokrotnie narażając własne życie. Pan Jelinek pomagał każdemu bez względu na narodowość i wyznanie. Widział tylko człowieka, który potrzebuje pomocy. Nigdy nie zważał na własne bezpieczeństwo. Wraz z żoną zgłosił się do czeskiej armii generała Swobody.

Pomagał ludziom w Czechosłowacji, Rosjanom i Ukraińcom, którym groziła deportacja. Wystawiał metryki chrztu opatrzone pieczęcią kupieczowskiej parafii. Nigdy nie taił swojego postępowania. W latach pięćdziesiątych został skazany za swoje poglądy. W czasie ciężkich robót w kopalniach doznał groźnego urazu kręgosłupa. Po zwolnieniu pracował aż do emerytury jako robotnik, nie pozwolono mu wrócić do duszpasterstwa. Rodacy z Kupiczowa bez względu na wyznanie wielce szanowali pana Jelinka. Przed kilkoma laty złożyli wniosek o odznaczenie państwowe z prawie setką podpisów. Wniosek nie został przyjęty. U schyłku życia dostał jednak odznaczenia od szefa sztabu Czeskiej Armii w związku z telewizyjnym przypadkowym reportażem. Reportaż wywołał powszechne zainteresowanie środków masowego przekazu. Nazwano go czeskim Schindlerem. W ten sposób o naszym rodaku, o Kupiczowie i o Wołyniu zostało poinformowane szerokie społeczeństwo. Swój bogaty życiorys opisał Jelinek w książce wspomnień pt. "Rozdawaj chleb swój w obfitości"...

Rodacy z Kupiczowa będą pamiętać o Panu Janie Jelinku z wielką miłością, szacunkiem i wdzięcznością.

Miloslava Žáková

Tłumaczenie: Sulimir Stanisław Żuk, z: Miloslava Žáková, Památce významného krajana pana Jana Jelinka, *Volýnski Holocaust*, "Zpravodaj" Sdružení Čechů z Volyně z jejich přátel", Praha, nr 2/10, s. 3.

Pan Vaclav Kytl
Prezes Środowiska Kupiczowskiego
w Mastovie Czechy

DRODZY BRACIA CZESI!
tradycyjne spotkanie z d.mieszkańcami Kupiczowa

Zbliża się też tradycyjne, majowe, spotkanie dawnych mieszkańców Kupiczowa. W bieżącym roku przypada ono w 65 rocznicę zakończenia II wojny światowej oraz w 140 rocznicę zakupu kupiczowskiej ziemi od Rosjan. Po 77 latach, inna już, Rosja, na zasadzie swojego widzi mi się, zerwała umowę.

Nie miejsce tutaj na rozpamiętywanie tego tematu. Wyrzuceni z własności prawowici gospodarze Kupiczowa, spotykają się co roku w Krasnym Dworze.

Dziękujemy za zaproszenie. Życzymy miłego spotkania, miłych wspomnień. I tych tragicznych też. Jak pamiętamy, wiele Czechów przelało swoją krew za dobro sprawy w wspólnej walce, w walce o godność człowieka, która naszym wspólnym przeciwnikom była obca. Ponadto my - Polacy - doznaliśmy od Was tylko dobroci. Daliście nam miejsce dla ponad tysiąca uciekinierów, Daliście miejsce dla żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, a co najważniejsze wiele Czechów zaciągnęło się do Armii Krajowej. Dziękujemy Wam za to.

Uczestnikom spotkania życzymy dużo zdrowia i... spotkań w następnych latach.

Zarząd Okręgu Wołyń
Światowego Związku Żołnierzy
Armii Krajowej
Redakcja Biuletynu Informacyjnego
ŚZŻ AK Okręg Wołyński
27.Wołyńskiej Dywizji AK



ZAŁOŻONA 1942

BIBLIOTEKA POLSKA POSK

238-246 King Street, London W6 0RF

Tel: 020 8741 0474 Fax: 0208741 7724

library@polishlibrary.co.uk



ZAŁOŻONY 1964

Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej
Okręg Wołyński
ul. 11 Listopada 17/19
03-446 WARSZAWA
POLAND

Londyn, 24 maja 2010

Szanowni Państwo,

Pragnę bardzo serdecznie podziękować za pamięć i regularne przysyłanie do zbiorów Biblioteki Polskiej POSK w Londynie

Biuletynu informacyjnego.

Dziękuję również za *Nasz Dziennik*, nr 85/2010.

Łączę wyrazy szacunku

mgr Jadwiga Szmidi
Kierownik Biblioteki


Z ŻAŁOBNEJ KARTY


Podajemy nazwiska żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, samoobrony, konspiracji na Wołyniu, zmarłych w ostatnim okresie:

1. Dmochowska Janina, współdz., Warszawa
2. Ignaciuk Leokadia sanitár. Stężarzyce, Warszawa
3. Prucnal Tadeusz „Karta”, I/43, Dorohusk
4. Dowgiałło Mieczysław Marian”, III/50, Koszalin
5. Kiesz Wadiusz, współdz., Starachowice
6. Śliwa Roman „Małoletni”, samoobr. Wodzisław, Hrubieszów
7. Żmuda Mieczysław „Paluch”, II/23, Hrubieszów
8. Grabiański Antoni „Krzak”, konsp. Horochów, Wałcz
9. Dorociński Bolesław ”Kanarek”, OP ”Kozak”, Gdańsk

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI

KSIĄŻKI WYDAWNICTWA OPRACOWANIA

 Książka „Z Kresów Wschodnich na Zachód” – Monika Śladewska, wyd. Atla 2, Wrocław ul.Samotna 8a. Sanitariuszka 27 Wołyńskiej Dywizji AK opisuje własne przeżycia, kreśląc panoramę historii Wołynia czasów przedwojennych i wojennych oraz drogę frontową z samodzielnym batalionem sanitarnym 2 Armii Wojska Polskiego. Książkę można nabyć w wydawnictwie lub w siedzibie Wołyńskiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK. Cena 25 zł.

 Książka „Skazany na zapomnienie – płk Kazimierz Bąbiński „Luboń”, „Wiktor”. Autor Dariusz Faszczka – płk Bąbiński w czasie okupacji niemieckiej w latach 1942-1944, pod pseud.”Luboń”

pełnił funkcję Komendanta Okręgu Wołyńskiego Armii Krajowej. Organizował polskie podziemie zbrojne na Wołyniu. Był twórcą i pierwszym dowódcą 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Bogata treść historyczna, badawcza, dokumenty, fotografie, bibliografia. Stron 312, cena 35 zł.

📖 Książka „**Osnowa**” **Zgrupowanie Pułkowe 27 WDP AK – od Lasów Wołyńskich do Puszczy Solskiej**. Wspomnienia uczestnika, żołnierza 27 Wołyńskiej Dywizji i 9 Pułku Piechoty Legionów AK. Autor: Edmund – Henryk Bakuniak ps.”Jeż”. Wydawnictwo ŚZŻ AK Okręg Wołyń, str.340, cena 25 zł

📖 Książka „**Przed Akcją Wisła był Wołyń**” aut. prof.dr hab. Władysław Filar wydanie drugie poprawione i uzupełnione. Cena 10 zł

📖 **Eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu w drugiej wojnie światowej** autor prof.Władysław Filar wyd. ŚZŻ AK Okręg Wołyń. Cena 10 zł.

📖 **Wojskowe i historyczne tradycje 27 WDP AK** – Czesława Piotrowskiego, str.254. Opracowanie przedstawia historię 27 Dywizji Piechoty od jej powstania w 1920 r. do jej odtworzenia w akcji „Burza” pod nazwą 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej wraz z wchodzącymi w skład dywizji pułkami. Cena 4 zł.

📖 Książka „**Wołyński Życiorys**” aut. Bogusław Soboń, wyd. ŚZŻ AK Okręg Wołyń, wydanie drugie uzupełnione i poszerzone, str. 167, cena 7 zł.

📖 **Ideologia nacjonalizmu ukraińskiego według Dmytra Doncowa**. Praca doktorska Wiktora Poliszczuka omawiająca i obnażająca ideologię nacjonalizmu ukraińskiego, pogłębiająca o nim wiedzę. Cena 8 zł.

📖 „**Jastrzębiacy**”. Aut. Leon Karłowicz – Historia Wołyńskiego oddziału partyzanckiego. Stron 225. cena 10 zł.

📖 **Polska – Ukraina trudne pytania** materiały z seminariów polsko – ukraińskich historyków. Stosunki polsko – ukraińskie w latach II wojny światowej. Cena 3 zł tom.

📖 **Cyprian na Monte Casino.** Aut. Szczepan Libera. Pamiętnik Cypriana Libery, pobyt na Wołyniu, sowieckie łagry, armia Andersa. Pisany do 16.04.1944r. Autor Cyprian L. Zginął 17.05.1944r. pod Monte Casino. Stron 156. cena 10 zł

📖 **Spod Lubartowa do Riazania i Krakowa.** Autor Czesław Piotrowski. Przeżycia autora od rozbrojenia 27 Wołyńskiej Dywizji AK, Szkoła Podchorążych, służba w WP. Stron 220. cena 15 zł.

📖 Wymienione wydawnictwa książkowe ŚZŻ AK Okręgu Wołyń, znajdują się na księgarskich półkach i są do nabycia po niskich przystępnych cenach. Można je nabyć w siedzibie **Wołyńskiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie przy ul. 11-Listopada 17/19, 03-446 Warszawa, w godz. 10-12 w każdą środę.** Także wysłane mogą być drogą pocztową, **po uprzednim wpłaceniu równowartości wydawnictwa plus koszt wysyłki** na konto bankowe **PKO S.A. 17 1020 1097 0000 7102 0106 9061.** Na odwrocie przekazu należy wymienić tytuł książki i ile egzemplarzy się zamawia. Również wysyłane mogą być za zaliczeniem pocztowym.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skrótów nadsyłanych materiałów. Tekstów nie zamawianych nie zwracamy.

SPIS TREŚCI

1. Kontynuacja marszu OP „Bomba” na koncentrację 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej – T. Wolak	3
2. Warto o tym wiedzieć – oprac. Wł. Siemaszko	20
3. Biografia ks. kapelana Antoniego Dąbrowskiego ps. „Rafał” – oprac. T. Wolak	22
4. Kobiety w walce o Polskę – Anna Eliza Markert	29
5. Historia z Lasów Mosurskich – E. Kołodziej	36
6. Istriebitelne bataliony – M. Ślądowska	39
7. Co się stało z Ukraińską Powstańczą Armią – A. Kownacka- Góral	45
8. Ukraińcy wobec Polski i Polaków – Zb. Małyszczycycki	49
9. Lwów nie oddał Polakom świątyni – M. Krasuski	64
10. Zawracanie Dniepru kijem – Zb. Lipiński	68
11. Do polskich władz – Anna Kownacka-Góral	70
12. Andrzej Przewoźnik – Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – K. Krajewski	74
13. Janusz Krupski – Kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych – J. Bazydło	77
14. Płk Czesław Cywiński – Prezes Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej – L.C. Sikora	79
15. Echa Wołynia – R.	
16. Doroczne uroczystości Wołyniaków w Sanktuarium Maryjnym w Kałkowie-Godowie – A. Mariański	82
17. Relacja – sadzenie dębu – Wł. Sieradz	88
18. Relacja z uroczystości poświęcenia i wmurowania urny z Ziemią Wołyńską w Oratorium Wołyńskim w Kałkowie- Godowie – I. Zamościńska	89
19. Pamięci Jana Jelinka – Czecha z Kupiczowa	94
20. Drodzy bracia Czesi – tradycyjne spotkanie z dawnymi mieszkańcami Kupiczowa	96
21. Podziękowania Biblioteki POSK w Londynie	97
22. Z żałobnej karty	98
23. Książki, wydawnictwa, opracowania	98